



CIU 9013

Cena 20 zł.

DZIS i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok III

Warszawa, 13 lipca 1947 r.

Nr 28 (85)

TREŚĆ NUMERU: M. J. Kononowicz – Harmonia, St. K. Rostworowski – O szkołę politycznego myślenia, St. P. – Błyski częstochowskie, J. A. Górski – Prawdziwa reforma szkół wyższych, Jan Len – Zła droga, A. Trepieński – Historia i polityka, J. Kawecki – Teatry warszawskie, St. Podlewski – Przemarsz przez piekło, J. Pertek – W cieniu Doenitza, Z zagadnień gospodarczych – Waloryzacja czy nominalizm

Zygmunt Jakimiak

Dwie książki Walentego Majdańskiego

„Twarda jest mowa i któż jej słuchać może” będą się swarzyć faryzeusze, skryby, a nawet przeciętni celnicy dzisiejszego społeczeństwa po przeczytaniu dwóch nowych książek Majdańskiego! Twarda jest zaiste ta mowa, twarda jak chleb razowy, który rewolucjonizuje zepsute żołądki, jak ziemia, po której chodzi dwa miliardy ludzi, znacznie więcej zwierząt, na której stoi mnóstwo budynków, a ona ani się nie ugnie. Mowa Majdańskiego jest mową prawdy i dlatego ledwie najzdrowsi mogą ją nie tylko znieść, ale i wykorzystać, jak właśnie, jak chleb razowy.

Majdański nie jest literatem, którego jedyną czynnością jest składanie abstrakcyjnych konstrukcyj. Język jego jest żywy. Trafia do sumienia, do serca, do rozumu, mimo, że często zatracca się w dziennikarskim, telegraficznym, ba wprost nawet wulgarnym stylu. Teologia jest u niego „na perłowo”, przewiduje powstanie przystawia „głupi jak logiastyk”, mówi „głaba kapuścianego nikt nie nauczy, nawet socjalista” itp.

Nie jest też Majdański suchym moralistą, który głosi abstrakcyjne jedynie formuły postępowania. Ale nie będę wylizcał czym on jest. Jest on wszystkim po trochu, a niczym wyłącznie. Jak człowiek żywy, zajmuje się mocno wszystkim, co z życiem ludzkim jest związane. Nihil humani a se alienum esse... Stosunek do człowieka i zbiorowości bardzo uczciwy. I stąd jest Majdański mędzem stanu, moralistą, politykiem, statystykiem, historykiem, filozofem, teologiem itp. Człowiek żywy powinien zajmować się każdą dziedziną ludzką dla osiągnięcia pełni życia. Specjalność wyjąława. Jak mówił pewien mój znajomy: „fachowiec to taki człowiek który umie tylko jedną rzecz, a resztę umie bardzo kiepsko”. Otóż Majdański, choć zajął się tylko jednym problemem, by nim ludzi jętrzyć, problemem dzieciobójstwa, stał się apostołem jednego prawa, moralnego — prawa dzieci do życia, zajął się jednocześnie wszystkimi problemami ludzkimi, by swoje specjalne zagadnienie najjaśniej oświetlić, pokazać przez mikroskop i teleskop, żeby już niewiele można było dorzucić.

Książki jego przerażają. Właściwie on sam od siebie mówi niewiele. Jeżeli zaś mówi sam, to niezawsze przekonująco. Majdański, powiedzmy to, nie jest geniuszem i nie ma do tego pretensji. Nie chce wymyślać prochu. Chce tylko bronić tych, którzy mogliby wymyślać wspaniałe prochy, ale są zabijani zawczasu. Majdański głównie przeraża dokumentami, faktami, świadectwami, uznanych autorytetów. lęzbanami i zesta-

wieniami faktów. Jego liczby właściwie tłumaczą całe zło świata. Jak obecnie Niemcy, ba, nawet ich biskupi głoszą, że są niewinni, że za Hitlera nie odpowiadają, tak nasi współcześni ze zdumieniem pytają się w całym świecie, co zawinili, że ich takie kary spotykają, a jeszcze sroższe zagrażają. Czytając cyfry Majdańskiego, dziwić się raczej należy, że świat jeszcze istnieje, że ludzie jeszcze mają względny spokój i dobrobyt.

„W Niemczech przedhitlerowskich mordowano milion dzieci w katolickiej Belgii ćwierć miliona, w USA. dwa do trzech milionów, w Radzieckiej Rosji 3 miliony”. „W Polsce zamordowano 3 mil. dzieci za czasów niepodległości”. „Polskie dzieci świnie jedzą”.

I cóż można na to powiedzieć — czy można mówić o niewinności, skoro nawet prawo na to pozwala? Prawda, najprędzej spostrzegła się Rosja, zabroniła tego i teraz należy się spodziewać jej triumfu na świecie.

Porzucę tę spekulację na chwilę. Wolę wrócić do mojej chałupy sprzed laty 38. Wtedy właśnie urodziłem się jako dziewiąte dziecko. Ojciec żeniąc się miał siedem i pół morga gołowego pola, bez inwentarza i budynków. Był on drugim dopiero pokoleniem po uwłaszczeniu jego ojciec był bogaczem, bo ukaz go zastał na półtorzej włóce ziemi (45 morgów — 21 ha) ale jako najmłodszy został pokrzywdzony przez starsze rodzeństwo. W

ciągu pięćdziesięcioletniego gospodarowania ojciec palił się dwa razy doszczętnie, przechodziły po nim trzy wojny (Niemcy 1916, Rosjanie w 1920, Niemcy w 1939, Rosjanie w 1944), zabierając inwentarz i wozy. Umierając zostawił trzy średnie gospodarstwa dla dzieci (10 — 30 morgowe), a trojgu dzieciom ułatwił osiągnięcie najwyższego wykształcenia, jakie w kraju, a nawet zagranicą można otrzymać. Nie był zaś ani o cal nieuczciwy. (Heż razy dostałem w skórę za cudze jabłka, czy ogórki. Po 8-ym roku życia już mi się to nie zdarzyło.) Nie był też fanatykiem pracy. Ani skąpy. Palił namiętnie, jeśli zaś nie pił wódki, to dlatego, że mu szkodziła. Ja piję. Kilkadziesiąt lat chorowałem na żołądek i musiałem lepiej jeść i jadł. Zwykły, uczciwszy od innych, w miarę pracowity, o wyższych (historycznych, prawnych, filozoficznych, teologicznych) zainteresowaniach chłopiec (1,55 wzrostu). Bez żadnego bohaterstwa, tylko bez żadnego zbytku. Ani ja, ani moi bracia nie braliśmy tzw. „kozy”, czyli nie wykradaliśmy zboża na zabawy i wódkę. Ale każdy miał na zimę buty, koszulę, ubranie, nikt nie chorował i nie przeziębiał się, choć warunki nie były ani eugeniczne, ani higieniczne. Nie było też sportu, była tylko robota. I sam nie wiem teraz, czy to ojciec nas (dzieci) wzbogacił, czy my jego. On nas tylko nie zabił. To jego olbrzymia nienagrodzona, nieuzmysłowiona zasługa.

Czterech synów było na wojnie w

1920 r., w tym dwu wróciło z Virtuti i Walecznych.

Mamże dalej wspominać? Majdański zmusza mnie do tego. U ojca nauczyliśmy się pracować, oszczędzać na rzeczach niepotrzebnych, przestać wać na małym, cenić rzeczy według obiektywnej wartości, jak Bóg, Ojczyzna, bliźni, uczciwość — i niczego się nie bać z tego, czego współcześni najbardziej się lekają, to jest trudu, braku, przyszłości. Kiedy jechałem na studia do Warszawy, ojciec dał mi 50 zł., a matka kilka lichych kosztów. Za to opłaciłem szkołę, opłaciłem mieszkanie i żyłem cały rok, który zresztą „straciłem”. Ale to wystarczyło. Koledzy moi mieli po 200 zł. miesięcznie i narzekali, że im ciężko. Nieraz ich poratowałem w potrzebie. A miałem wysokie potrzeby kulturalne. Teatr, opera, filharmonia, odczyty. Inna rzecz, że pierwszy „przywoity” garnitur sprawiłem sobie dopiero po studiach. Ale na czym mi zależało? Nigdy na opinii ludzi, którzy by się odwrócili od nieeleganckich spodni, i wytartej kurtki. Zresztą spotykałem w mieście z reguły najszlachetniejszych ludzi. Bo bez nich nicy mi odważa i niefrasobliwość nie pomogły. A dużo marnowałem pieniędzy, bo nigdy ich nie cenilem. Odnoszę wrażenie, że za pieniądze, jakich użyłem na studia, mogłoby się przy oszczędności, wykształcić pięciu studentów.

Otóż według przeciwników Majdańskiego rodzina mego ojca powinna wydać samych zbrojców, zbrodniarzy, wyrzutek społeczeństwa. Ja w

„porządnej” nowoczesnej rodzinie wogóle bym nie przyszedł na świat. Powinienem być idiotą. I są, przypuszczam, tacy, co mnie tak oceniają. Jest choć z tego zabawa. Ale — jak mówi Majdański — nawet idioci, o ile są liczni, zdobędą ziemię na samobójczych mędrcach.

Czy mam dalej pisać o sobie? Kuszą mnie. I ulegnę, a redaktor niech wybacza. Po studiach w Paryżu, po pobycie w Afryce, zasmakowałem w pieniądzu, nie mogłem się wydziwić jak łatwo wydaje się na nic pieniądze. Miałem czasem, jako kawaler, do 600 zł. miesięcznie. A najeść się i upić mogłem za 2 zł. I w tym czasie miałem więcej długów, niż w okresie golizny. Gdzie szły? Nie wiem. Z wiatrem. Uraowała mnie Kłeska 1939 r. Wróciłem na część po ojcu — cztery morgi ziemi — za dwa przypo-

niałem sobie jak smakuje suchy, razowy chleb i kartofle z maślanką. Odżyłem, wyzdrowiałem. I ożeniłem się. Właśnie na największą biedę, bo wtedy żona najwięcej potrzebna. Trafiałem, na najmłodsza, dziewiątą córkę mieszczańskiej, warszawskiej (i w Warszawie byli i są, choć rzadko, mądrzy, uczciwi ludzie) rodziny. I do tej pory dziękuję za nią Opatrzności, bo choć mieszczańska, bardzo szybko opanowała chłopską robotę i lepiej sobie z nią radziła ode mnie. Ale cóż. Z tej szkoły co i ja. Liczna rodzina daje dzielnych, zaradnych, niebojących się trudu ludzi. Choć byłem leniwy, bo jako rolnik z dwoma dyplomami, mogłem mieć z tych czterech morgów więcej dochodu, niż minister trzeciej Rzeczy, to jednak żyłem z żoną zupełnie przyzwoicie, choć skromnie.

A dziś? Po odzyskaniu niepodległości wróciłem do Warszawy, by pełnić funkcję, do której lepiej jestem przygotowany, niż do chłopskiego tylko życia. Zrobiłem to ze względów społecznych. Bo cztery morgi wystarczyły mi. Nawet dla naszych dzieci.

I tu zacząłem życie biedniejsze, niż na wsi. Trzy tysiące złotych miesięcznie! A tu remonty domu, a tu dzieci zaczynają co rok się zjawiać. Tymczasem moi koledzy pracy bezdzietni, pracują i biorą tyle, co ja, ba, ich żony pracują i biorą tyle, co ja, to jest dwa razy tyle, a naprawdę uwzględniając moje dzieci, a brak ich u nich, cztery, sześć razy tyle, co ja. Czy nie przeżyłem? Lepiej od nich. Im stale pensja mała, przydziały „głodowe”, „na życie im nie starcza”. A ostatnio obcięto przydziały rodzinne. Państwo nasze jeszcze nie rozumie wyższej polityki populacyjnej Majdańskiego. Ale co pomoże ta polityka? Nic. Dzieci, to najwyższy skarb, który się kupuje za rezygnację z egoizmu i sybarytyzmu, kupuje się za pracę umysłową, woli i mięśni, za pot i wyrzeczenie. Nic nam nie da, że, jak Majdański dowodzi,

Wytyczne

Okres wypoczynku

Rozwijający się w pełni okres urlopów, wyjazdów w góry, nad morze jest z samej natury czasem odpoczynku. Ludzie chcą spędzić czas możliwie uroczno i beztrudno. Jest to zjawisko zupełnie naturalne i zdrowe.

Trzeba jednak pamiętać, że przeważnie urlop jest także jedynym okresem, w którym można w oderwaniu od codziennego kołowrotu zająć zastanowić się nad ogólnym sensem swojej pracy czy działalności. Wydaje się nam, że tej roli urlopu nie należy zlekceważyć. Musi on być wykorzystany na skontrolowania zgodności między treścią dnia codziennego a celami naczelnymi, którym chcemy służyć.

Dlatego też urlopy winny być nie tylko czasem odpoczynku czy zabawy, ale także okresem samotnej refleksji nad sensem wykonywanej pracy.

1) Walenty Majdański: Kołski i polska. 1946 r. i Polska kwitnąca dziećmi 1947 r. nakładem autora.



DMIT 91052

Maciej J. Kononowicz

Harmonista

„Bij w struny, bij. Okręty są i morza
na strunach dwu...”

Przypomnienie i zapomnienie, błękit i brzoza
i twarz ze snu”.

K. J. Gałczyński.

Październikowe ślady prowadzą z Polski za druty —
Teraz jest noc i księżyc i mglisty, beznieźny lufy —
Erniemy przez bagno czasu w nonsens, co grozi i rośnie
Przecież wciąż bliżej i niżej pochyla się świat ku wiosnie.
Choć chmurne nakrywa nas niebo i zmywa wiatr północy,
Patrzmy z nadzieją w gwiazdy aż krzyczą i bolą oczy — — —
Rozciągaj, bracie, rozciągaj harmonię,
Jak tylko ci ramion starczy —
Może rozłupiesz jak piorunem
Jeniecką monotonię —
A może, kiedy ściągniesz miechy,
Uchwycisz w ramiona tęsknotę —
Będziemy śmiać się, będziemy płakać.
A po tym, bracie, cóż po tym?
„Pod Krakowem czarna rola
Ja jej orać nie będę,
Ja jej orać nie będę...”
Kiedy się łamią pory roku
Z zimy na wiosnę,
Kiedy się kwasi błoto pod stopą
I słońce rośnie,
O Polsce, gdzie nuda, szaruga i deszcze
Graj, bracie, graj jeszcze!
Kiedy nas rozpacz, obłądnych, na druty
Rzuca jak żywe, krwią splecniate nuty,
Kiedy nam nerwy fontanną strzelają,
Kiedy głód patrzy, jak śmierć, prosto w oczy,
Kiedy stoimy we mgłę na rozstaju
Dróg ku wielkości i dróg ku rozpacz — — —
Rozciągaj, bracie, rozciągaj harmonię!
Umiesz całować piosnkę w same usta
To nie, że wokół są więże i pustka,
Wbite w kraję czarnej monotoni — — —
Przecież wyzwolisz się, rozprężysz,
Pierś wiatrom podasz tak, jak żagle,
Przestrzeń pokonasz, czas zwyciężysz,
Dłoń w pięść zaklepiasz na kowadło...
Pięść głodna, gdy trafia w próżnię,
Syta, gdy masę w pył gwiazd
Rozwali, rozłupie, rozluźni,
Jak wszystko młazdzący głaz.
Nad światem zastęły młoty —
Nie dla nas ostatni cios — — —
Hej, bracie, rozciągaj harmonię
W zimową, beznieźną noc!
Przerosły nas czasy niezwykle,
Przygniotły niewolne miesiące,
Przeszliśmy niejedną bitwę — — —
Serca zostały gorące!
O, niech się rozpacz przepali
Niech się tęsknota wyzwoli,
Niech spłynie czy krwią, czy łzami
Polska, co w piersiach nas boli —
Choć Jej nie wygrasz na strunach
I nie wyśpiewasz w piosence
Wzniosą Ją serca i mózgi
I ręce, zbrojne ręce!

— — —
Sny nasze, wiara i pieśń i wiodą spowrotem do Polski.
Teraz jest noc i księżyc — — a śnieg przysypał wioski —
Zaraz się wiosna nacyli tuż nad zwęgloną Warszawą —
Na garbach ruin i mogił błękit zrymuje się z trawą.
Nam znikąd nie będzie daleko, nas zewsząd doniosą nogi,
Marszem wspiewamy się w polskie, piaszczyste i błotne drogi!
Rozciągaj, bracie, harmonię —
Ramiona masz jak wiatraki
— — — Świat się ku wiosnie przewala
Patrz — już wracają ptaki...
— — —

Sandbostel, 24.II.45.

my utrzymujemy bezdzietnych i mało
dzietnych. Oni, — Walenty — „biorą
zapłatę swoją”. Niech mają jak naj-
więcej wygód i przyjemności. I tak
wkrótce po nich przestanie nawet
śmierdzić.

Nie potrzebuję dodawać, że mi jest
coraz lepiej, lżej i mam wielkie zamia-
ry. Nie boję się przyszłości. Ale ja
nie jestem odpowiednim przykładem.
Mam żonę zdrową i dzielną, a dzieci
jeszcze niewiele. Ale co powiedzić
o p. Opalskim, artyście-rzeźbiarzu, o
którym doniósł niedawno „Exspres
Wieczorny”. Ma sześcioro drobnych
dzieci, przy ostatnim umarła mu je-
go bohaterska żona, a parę dni przed-
tym spalił im się dom. Już blisko
rok męczy się biedak, ale dzieci cho-
wa. (Najmłodsze nie ma roku). Ja-
ką tam pensję ma w Zarządzie
Miejskim nie wiem. To nieważne. Ale
ważne jest, że wytrwa i niedługo on
i jego dzieci będą się śmiały z bez-
dzietnych sterców, którzy teraz śmie-
ją się z niego, lub bluźnierczo współ-
czują mu. Takimi ludźmi żyje naród.
Żyje, tworzy, produkuje, rozszerza
się broni, zdobywa. Majdański daje
na to przykłady z historii ubiegłej i
aktualnej: Chiny półmiliardowe. Japo-
nia. gdzie 1600 ludzi żyło w 1939
roku na jednym kilometrze kwadra-
towym — do nich należy świat — to
nasi przyszli panowie. Ja osobiście
tym się nie martwię. Chińczycy, to
naród filozofów, to najuprzejmiejsi
i najdzielniejsi ludzie świata.

Mają tortury, ale je stosują z u-
śmiechem uprzejmości i za przestęp-
stwa, których nasze prawo nie karze.
A jeśli zginie przy tym przewrocie
jakaś ilość zachodnich, kapitalistycz-
nych nierobów to Majdański, czy ja,
będziemy się martwić? To będzie tyl-
ko przyspieszenie o parę lat uprag-
niowanego celu tych samobójców —
śmierci. To będzie widok podobny do
tego, jaki przewiduje Chesterton w
„Nowej Jeruzolimie” — całe stado
wieprzów, w które wstąpiły szatany,
rzuć się na swą zębą w morze...

Dopiero po przeczytaniu książek
Majdańskiego zrozumiałem, dlaczego
zawsze wolałem kobietę i pannę
wiejską, od warszawianki takiej, ja-
ką spotyka się na ulicy. Tak, wola-
łem i wolę babę wiejską, przy udoju,
w gnoju, brudną, spoconą od uper-
fumowanej, upudrowanej, uróżowa-
nej mieszczki w jedwabiach, czy
własnej skórce na plaży. Baba mi
pachnie, „pani” śmierdzi. Bo tę ba-
bę otaczają równie umorusane, w po-
łatanych portkach, ale zdrowe, bo
krzykliwe dzieci. Czeka ją kiedy skoń-
czy udój, by się napić mleka. Głodne.
A przecież warszawianka pakuje w
swego jedynaka same przysmaki, a
on nie ma apetytu, ma zato anemię
i umiera. Albo ma pieska, który też
nie ma apetytu i wędruje od wetery-
narza do weterynarza. Piesek żyje z
krwi jej zabitych dzieci. Jedynaki,
czy bliźniaki też opływają we wszyst-
ko dzięki śmierci swego rodzeństwa.
Są kainami, choć nieświadomymi. A
krew brata woła o pomstę do Boga.
Jest trucizną. I jeśli nie będzie po-
kuty i poprawy, pomsta przyjdzie.

Książki Majdańskiego egzaltują. I
prerażają. W postaci ducha nigdy
nie bardzo wierzyłem, żeby tyłu było
między „kulturalnymi” europejczyka-
mi, ba, katolikami, dzieciobójców.
Najstraszliwsza to zbrodnia i najpo-
wszechniejsza. Majdański porównywa
Polskę do Oświęcimia. No, przesada.
Oświęcim stał dużo wyżej pod wzglę-
dem moralności. Więzień Oświęcimia,
który miał zginąć, przeżył życie, krótsze
czy dłuższe, ale przeżył, ma do-
skonale warunki do pokuty, do po-
święcenia się, jest męczennikiem, ma
bliskość śmierci, a więc się może do
niej przygotować. A dziecko nienarod-
zone? Nic nie przeżyło, nie ma moż-
ności rozwoju, nie może uciekać, ba,
ono nawet nie jest ochrzczone. A,
jak mówił pewien, zwolennik Maj-
dańskiego, do kobiety: „urodź, ochrzc-
cij i zabij, będziesz miała mniejszy
grzech, niż za przerwanie ciąży lub
za jej zapobieganie. Najbardziej to

antyhumanitarna zbrodnia humani-
tarystów.

Nie można dyskwalifikować Oświe-
cimia porównaniem go z dzieciobój-
stwem. Był on zjawiskiem zrozumia-
łym. Niemcy to też naród dzieciobój-
ców. Czym dla nich wobec tego był
Oświęcim. Głupstwem, drobnostką.
A dla nas? Kara i nauka. Zoba-
czymż, jak to przyjemnie być bez-
bronnym w mocy zbrodniarza. A cze-
muż to Anglia, Ameryka, Francja tak
obojętnie patrzy na niemieckie zbrod-
nie wojenne? Czemu, zamiast karać
cały naród, jeszcze go żywią i wal-
czą z Rosją o lepsze warunki jego
bytu, wyższą stopę życiową, boga-
ctwo? Bo i nie mają prawa do sądze-
nia, mając to samo dzieciobójstwo
na sumieniu i są z tegoż powodu —
zobojętniałe na zbrodnie. Umieją tyl-
ko bać się podobnego losu i korzy-
stać z obrony — dzieci innych na-
rodów, którym te narody pozwoliły
żyć. To też nie może ich nie spot-
kać kara, nie może Bóg nie zacząć
ich „wypluwać z ust swoich”. Dla
nas szczęście, że kara przyszła wcześ-
niej, a więc łagodniej, niż na inne
narody i że właściwie już jest po
niej, o ile to przeżyjemy tak, przy-
stało na katolików.

Katolików. Majdański się gorszy
z polskich katolików, księży, bisku-
pów, ba, zakonów. A iluż tych kato-
lików jest, do cholery? Takich, co
z Chrystusem żyją bliżej, niż mąż z
żoną, ufniej i czulej, niż dzieci z ro-
dzicami, namiętniej, niż kochankow-
wie? Ilu ich jest? Czy katolikiem jest
ten, co raz koło Wielkiej Nocy idzie
do Komunii Św.? Ten Sakrament jest
przecież chlebem dla życia katolickie-
go. Jak może pracować ten, co raz na
rok żyje pokarmem, choćby najobfi-
ciej. Niech chłop zje do kosy raz na
rok, czy dużo skosi? Czy może ka-
tolikiem jest ten, co przyjdzie co nie-
dzielę na Mszę Św. o pierwszej go-
dzinie i stoi na ulicy, bo już się nie
zmieści?

I płynie z tej nieustającej Ofiary
krew Chrystusowa nieustannym stru-
mieniem, a „katolicy” uchylają się,
żeby się Nią nie zawałać, żeby ich
nie pokropiła i nie oczyściła. Jak
taki „katolik” może się rozmnażać,
żyć uczciwie z żoną i z ludźmi, to
jest być opanowanym, pracowitym,
sumiennym, twórczym, śmiałym, czy-
stym, słowem praktykować cnoty, na-
kazane przez Kościół? Musi uschnąć,
skończyć samobójstwem, bo brak mu
siły, jakie idą z sakramentów. Ła-
ska. Pisz o Niej Majdański. Kto
może być w Łasce w tych warun-
kach? To jest przecież przyjaźń z
Bogiem, przez Nią jesteśmy braćmi
Chrystusa, dziećmi Boga! A jeśli ka-
tolik raz na rok zbliża się do Chry-
stusa, to jak, przez całą resztę roku,
nie ma być Jego wrogiem, zdrajcą,
przeniewiercą? Wobec Niego, a coż
dopiero wobec swego dziecka, nie mó-
wiąc już o żonie, o reszcie ludzi?
Nie, próżno p. Walenty zwraca się
do katolików, żeby mieli dzieci.
Niech najpierw zdobędą Chrystusa.
Ale tak?!!

Mamy kler, zakony, które korzy-
stają z sakramentów. I co? Majdań-
ski ma i do nich pretensję. Czy słusz-
ną? Kto z nas jest bez winy? Brak
wierności Łasce, pracowitości w win-
nicy Pańskiej. Ale już ani Majdań-
ski, ani ja nie jesteśmy ich sędzia-
mi. Oni też w wielkiej mierze po-
chodzą być może, z nielicznych ro-
dzin.

Wielcy ludzie, wykazuje Majdań-
ski, pochodzili z rodzin licznych.
Święci również, szczególnie św. Katar-
zyna Sienieńska, wyjątkowa nawet
między świętymi, jak pisze jej bio-
graf Joergenson, była 24-ym
dzieckiem z kolei. Czy urodziłaby się
w małej rodzinie nowoczesnej? Świat
nowoczesny chce Boga oszukać. Zni-
szczyć w załączku Jego wielkich Apo-
stołów, Wyznawców, Panny, Wdowy,
Królów, Doktorów i t. d. Ale siebie
oszuka. Bóg posyła dusze swoich
przyszłych wielkich w rodziny lic-
ne, a ubogie i choćby najbardziej
„zaofane”. Kto wie, czy nie będą

niedługo Europy nawracali do Chry-
stusa Hindusi, Chińczycy, Egipcjanie,
którzy się mnożą w biedzie jak króli-
ki. Kto wie, ilu między nimi jest
świętych dziś? Wiemy, że Papież w
ubiegłym roku mianował 18-tu ar-
cybiskupów złotych Chińczyków. Tam
Bóg przynosi swoją świętość.

Ileż to refleksyj przychodzi w
związku z Majdańskim. Na każde je-
go zdanie książkę należałoby pisać.
Całe kazania wygłaszać. A to tylko
recenzja. Nie ma miejsca na wspo-
minanie o jego pismach, reformach,
kolonie rodzin licznych, ustrój rodo-
wy, „rozumna liczba dzieci”, 250 mi-
lionów Polaków wszystkie te wizje
pięknej przyszłości znajdzie czytelnik
w książkach Majdańskiego. Bo choć
nasza „kulturalna” prasa o nich nie
pisze, rozchodzą się. Już rozeszło
się 10 tysięcy nakładu jednej i au-
tor myśli o nakładzie drugim.

Nie jest jednak Majdański wolny
od zarzutu i to bardzo podstawowe-
go. Głównymi jego argumentami są:
moralność, potęga, produkcja, rekrut,
imperializm i t. d. Argumenty męża
stanu polityczne przeważają nad ar-
gumentami moralności. Otóż to nie
jest słuszne. Któż matka zechce
rodzić i wychowywać, tylko po to,
żeby dziecko było robotnikiem, któ-
ry zwiększa produkcję państwową, lub
żołnierzem, który ginie na froncie?
Żadna. Tak właśnie rodziły Spartan-
ki i Sparta ugnie i szybko zginie-
ła. Matka urodzi dziecko wtedy, je-
śli jest dobrze chowana, w moralno-
ści i dobrym przykładzie, jeśli nie
jest wynaturzona, jeśli zachowa na-
turę zdrową, tj. czystą, świeżą, wra-
żliwą.

Bo tylko wtedy będzie kochać
dzieci i będzie chciała je mieć. Argu-
mentem zasadniczym więc jest wola
matki, dobry wpływ na nią, wycho-
wanie, prawodawstwo, obyczaje, opi-
nia, atmosfera moralne. Żle jest, gdy
aż państwo nagradza matkę za dzie-
ci, płaci premie, daje pieniądze i t.
p., bo jest to oznaką starości naro-
du. Kobieta polska powinna zostać
uwolniona od nikczemnych wpływów
pornografii, mody, swobody oby-
czajów, niewłaściwego paczącego
jej poglądy wychowania publicznego
i oświaty. Powinna wrócić do domu
i do pracy. Wtedy będzie chętnie
rodzić. Zresztą Majdański o tym
pisze, tylko na pierwszym miejscu
umieszcza argumenty stanu. Stan,
państwo to wierzchołek, dom, to ko-
rzenie społeczeństwa.

Nieubłagany jest Majdański dla
dzieciobójców. Ale czy można znaleźć
dostatecznie mocne słowa potępienia
dla tej zbrodni? „Lekarze dziś sto-
ją najmniej moralnie w spośród wszy-
stkich zawodów”. Jeśli zabijają, to
czy tak nie jest? A może nie zabija-
ją? Straszne oskarżenie, ale strasz-
niejsza zbrodnia. „Matka - potwór”.
Jeśli różne dziecko czyż nie jest naj-
obrzydliwszym potworem? To samo
akuszerki. I czyż nie jest rozpaczli-
wym moralny stan lekarza, który
mówi, że bez dzieciobójstwa „umar-
by z głodu”? Wszyscy za to odpo-
wiadamy, bo kto nie potępi, ten po-
chwala, kto pozwala ten pomaga. I
nie dziwny się naszym obecnym kło-
potom.

Nie dziwny się też, że Majdański
jest osamotniony, przemilczany. Bę-
dzie jeszcze i prześladowany. Ośmie-
lił się być prorokiem, który wytyka
zrodniarcom zbrodnie, grzesznikom
grzech. Może nawet zostać męczenn-
nikiem. Lecz jeżeli dzięki niemu
choć jedno polskie dziecko nie zosta-
nie zarżnięte, będzie miał większą
zasługę wobec narodu niż Boy, dzie-
łki któremu może setki tysięcy zosta-
ły zamordowanych. Mimo tego, że
niżej od niego stoi jako literat. Choć
może nie jako uczyony. Bo Majdań-
ski przytacza olbrzymią ilość źródeł.
A kto w Boga wierzy musi coraz
śmielej Majdańskiemu pomagać w je-
go akcji uzdrawiania polskiego spo-
łeczeństwa.

Różnij Walenty. Obalimy legendę o
wyższości jałówek i jedynaków.

Zygmunt Jakim...

Stanisław K. Rostworowski

O szkołę politycznego myślenia

„Dzieje głupoty w Polsce” (o tym tu należałoby się spierać) — napisał polityk i publicysta w jednej osobie. Odnosi się wrażenie, że dzieło zostało napisane przez człowieka, który w dużym stopniu posiadał dar ożywiania, uaktualnienia skostniałej i nudnej w innych autorów przeszłości. Pod jego piórem zamarły cyfry, zapomniane fakty nabierają rumieńców życia i aktualności dnia.

„Istnieje zmowa niewidomych przeciwników widzącemu” — powiedział jeden z myślicieli, toteż należy się liczyć z tym, że praca autora znajdzie wielu niechętnych. Tymczasem dzieło Aleksandra Bocheńskiego domaga się obiektywnej krytyki — w żadnym jednak wypadku — niechęci. Nikt nie jest bardziej powołany do opiniowania o historii, jak polityk i publicysta, który w pewnym stopniu, sam jest jej twórcą.

Sądy historyków mają ogromny wpływ na decyzje polityków a więc kształtują pośrednio, dobrą lub złą

(A. Bocheński, „Dzieje głupoty w Polsce” — Wyd. Panteon, W-wa 1947).

dołę narodów na lat dziesiątki lub setki. Wynika stąd wielka odpowiedzialność. Można by zaryzykować twierdzenie, że jaki historyk — taka przyszłość narodu. Historykowi wolno pisać tylko prawdę, nie wolno mu niczego przemilczeć ani też subiektywnie zabarwiać, choćby to było „ku krzepieniu serc”. Historię tworzą ludzie, rola kierownicza przypada w udziale politykom. Kwalifikując poszczególne decyzje przywódców historyk powinien kierować się kryterium czy dana decyzja podniosła, czy też obniżyła siłę naszego narodu w stosunku do potęgi innych nacji.

Jedynie stosowanie tego właśnie kryterium jest celowe, bo ono szkoli naród politycznie, przyczyniając się tym samym do jego rozkwitu i potęgi. Nauczyciel narodu myślenia politycznego — to przebyć pół drogi do mocy i pomyślności, jaką można osiągnąć w danym okresie. Kiedy ozdrowieje głowa narodu, a zatem jego polityczne myślenie, rychło musi skrzepnąć cały organizm.

„Wszelkie inne, tak często przez naszych historyków stosowane kryteria,

światopoglądowe, społeczne, czy filozoficzne, o ile są one w kolizji z dobrem środowiska, podlegają naszej krytyce” — mówi Aleksander Bocheński. Autor uważa je za niewłaściwe i szkodliwe dla siły narodu, bo uniemożliwiają jego wyszkolenie polityczne i odwracają uwagę od kapitalnego problemu p o m n a z a n i a s i ł.

W trudnym położeniu geograficznym może nas jedynie ratować dyscyplinowana myśl, wysnuta z fundamentów doświadczenia historycznego. Anarchia sądów historycznych rodząca anarchię myślową to w przyszłości nieuchronna katastrofa narodu i degradacja jego sił.

W hierarchii polskich historyków, po „Jowiszu” naszego dziejopisarstwa Bobrzyńskim stawia autor najwyższej, Kalinkę, Smolkę, Dembińskiego i Skalkowskiego. Z publicystów — Koźmiana i „nieśmiertelnego” Dmowskiego. Lelewela czyni sprawcą wielu naszych nieszczęść, nazywając go w pełnym sile wywodzie „ojcem wyrodnym” naszej historiografii. Zdaniem Bocheńskiego historyk jest, chce

czy nie chce, politycznym nauczycielem narodu. Za jego błędne sądy, podchwyczone przez sugestywnych publicystów, utalentowanych dziennikarzy i „rozumnych szaleńców” poetów płaci naród gruzami swoich domostw, rzeką krwi i niejednokrotnie niewolą.

Z wielu historycznych sytuacji, jakie omawia autor dwie wydają się być szczególnie znamienne:

I. Szereg obiektywnych danych historycznych wskazuje na to, że w XVIII wieku Polska nie mogła utrzymać pełnej niepodległości wobec wzrostu potęgi Prus i Rosji. Decyzją St. Augusta Poniatowskiego przyjęcia protektoratu rosyjskiego, który i tak istniał de facto, chroniła całość Rzeczypospolitej i dawała możliwość podniesienia liczby i siły wojska polskiego (do 50 tys. żołnierza), reorganizacji szkolnictwa i ograniczonej reformy ustroju (rada nieustająca). W tym stanie rzeczy, ratując integralność Rzplitej, należało „przywarować” niepomyślną międzynarodową koniunkturę polityczną. Lepszą miała przyjść w 1806 r., kiedy Napoleon rozgromił Prusy. Niestety słuszna po-

lityka króla została pokrzyżowana przez niewyrobiony politycznie Wielki Sejm Czteroletni. „Patrioci” ulegli podszeptom pruskim i zawarli przymierze z Prusami. Rezultatem była katastrofa niemal natychmiastowa — drugi rozbiór Polski.

II. Powstanie 1830 r. wywołane przez zapalną młodzież i sugestie zagranicy (wiążąc siły zbrojne Mikołaja I powstanie polskie ratowała francuska rewolucja lipcowa) było powodem strasznej naszej klęski i utraty „Królestwa Kongresowego”, jedynej wówczas poza Litwą i Rzplita krakowską, ości polskości. Po upadku powstania nie znalazł się nikt, kto by wytłumaczył narodowi, że sami winniśmy naszej klęsce, wyrwawszy się w najfatalniej wybranym momencie.

Przeciwnie. Lelewel i Mochnacki wraz z plejadą naśladowców gloryfikowali powstanie, wywołane ze zbrodniczą lekkomyślnością. Generała Wincentego Krasińskiego, którego przewidywania okazały się trafne, ogłoszono zdradą i rzecz znamieną, ten wytrwały polityk nie doczekał się po dziś dzień ani monografii ani rehabilitacji. Miary zda dopełniła mesjanistyczna teoria Polski — Chrystusa narodów, głoszona przez naszych wieszczów.

Żniwo takiego posiewu nie kazało długo na siebie czekać. Przyszły lata 1863/64, które pogrzebały z trudem uzyskaną autonomię Wielkopolskiego, wyprowadziły Rosję z fermentów rewolucyjnych, stały się pierwszym szczeblem do stworzenia przez księcia Bismarcka cesarstwa Hohenzollernów i na lat parędziesiąt zcementowały nad grobami polskich powstańców złowrogie dla nas przymierze rosyjsko - niemieckie (To rewelacyjne wyznaczenie Bismarcka, dziś ogólnie znane, opublikował kanclerz Bülów w swoich pamiętnikach).

Aleksander Bocheński stawia czytelnika przed niejednym problemem, którego nie rozwiązuje, nie chce widocznie rozszerzać i tak ogromnych ram swego studium. Z uwagą pełną napięcia śledzimy klasyczną rundę z Szymonem Askanazym, rozdział „Problem ambicji narodowej” i wiele wiele innych.

„Historiografia nasza jest poza Szkołą Krakowską, historiografią nieodpowiedzialności narodowej” — powtarza autor za prof. Górką. Bocheński pisząc swoją pracę pod ekscentrycznym tytułem „Dzieje głupoty w Polsce” postawił sobie, jak wynika z jej treści następujące cele:

1. Uporządkować dzwignię naszej historiografii, przynajmniej od 1717 roku to jest od czasów ustalenia się protektoratu rosyjskiego i wytypić anarchię kryteriów, w jaką uwikłało się wielu historyków przy ferowaniu sądów, hrzebiennych w następstwie.

Wychować kadry młodych historyków, godnie pojmujących swą rolę politycznych nauczycieli narodu.

3. Stworzyć, wziętdnie reaktywować szkołę polityczną polską, opartą na prawdzie i czerpiącą z doświadczenia historii.

4. Oddziaływując na umysły naukowców, publicystów i propagatorów, nauczyć naród realnie i politycznie myśleć.

5. Tą drogą ratować naród przed zgubą.

Praca to niemal syzyfowa, wobec ogromu zadań a tym trudniejsza, że podjęta samotnie w wirze walki.

Pamflety Bocheńskiego czytawane były pod koniec wojny i po jej zakończeniu przez wielu naukowców, publicystów i polityków. Tezy autora były żywo dyskutowane i przyjęte przez wielu intelektualistów.

Autorowi „pamfletów dziejopisarskich” stawiano szereg zarzutów. Istotnie, układ książki jest wadliwy, często trudno było uniknąć zestawia-

Na widowni

CZĘSTOCHOWSKIE BŁYSKI

Po siedmiu latach żołnierki, więzień, obozów i tułaczki na obczyźnie wracałem z przedziwnym uczuciem do mojego miasta rodzinnego.

Z Alei Najświętszej Panny Maryi, tego odwiecznego szlaku pielgrzymów, rozciągał się wspaniały widok. Zdała, na horyzoncie z morza zieleni, z kornarów i wierzchołków starych drzew wyrastał ciemny masyw murów, baszt i dachów, z dumnie strzelającą w górę wieżą klasztoru jasnogórskiego. Tuż za nią kryła się wielka krwawa tarcza zachodzącego słońca. Niebo sphywało żgwą purpurą. Między zielenią miejskich parków pięła się ku górze jasna alejka Sienkiewicza, uwieńczona u szczytu białą figurą Niepokalanej Dziewicy, wzniesioną na fundamentach, ongiś wspaniałego pomnika cara Aleksandra II-go.

Szedłem ku niej, witając stare kamienie, kościoły i mury, wszystkie drogie sercu i znane mi od dziecka.

Dwukrotnie w tej wojnie znalazło się moje rodzinne miasto w ciężkiej opresji, w linii ruchomego frontu. Wyszło z lekkimi ranami, choć w latach okupacji złożyło szkodną daninę krwi.

Chodziłem po ulicach i parkach. Dawniej na każdym niemal kroku mogłem spotkać przyjaciół i znajomych, teraz będę chodził godzinami i nie dojrzę znajomej twarzy.

Wicher wojny i lata krwawej okupacji uczyniły straszliwe spustoszenia wśród młodego pokolenia.

W swoich dokumentarycznych wspomnieniach, pt. „Z krwawych dni Częstochowy” starał się Bolesław Kurkowski, dać wierny obraz cierpień i ofiar grodu podjasnogórskiego. Ukażą się one wkrótce drukiem w miejscowej zastłżonej oficynie drukarskiej Nagłowskiego.

Bogata literatura wspomnień kacetowych i konspiracyjnych powiększą niedługo pamiętniki Molickiego, wydane przez katolicką księgarnię Stawarsza w Częstochowie. Dorzucą one niejedną cenną fakt do historii walk z okupantem. Niespotykany w dziejach ogrom tragedii i nagła śmierć naszej stolicy przestoniła najnieśluszniej wielkość ofiary i poświęcenia wielu innych naszych miast: Bydgoszczy, Poznania, Gdyni, Łodzi...

Nie można ich pominąć i o nich zapomnieć.

Wychodzę na balkon. Wierzchołki drzew oddzielają mnie od murów klasztoru. Niewiele się tu zmieniło od tylu lat, tylko młode świerki wybujały. Widzę jak w wzgórzu powolutku idzie stary księżulo, wysoki, chudy i biały jak gołąb, co chwila przystaje. Liczy sobie podobno ponad sto wiosen.

Tu znów pan Łagodziński, artysta malarz, uczeń Matejki, profesor gimnazjum. Niewiele zostało z jego potężnej tuszy. Chodzi codzień z trojakiem do ss. Urszulanek po obiady.

Niedawno wspomniała prasa o artyście malarzu Gadomskim, uczniu Matejki, który żyje w ubóstwie i więc i temu należałoby pomóc.

Następnego dnia po Mszy św. w cudownej kaplicy udaję się za klauzurę, aby odwiedzić ojca Alfonsa Jędrzejowskiego, najstarszego zakonnika, przyjacielą moich dziadków i rodziców.

Wychodzę na wały klasztorne. Rozpalone słońce drga żywym srebrem. W blaskach porannych pławią się kwiaty, drzewa i krzewy wokół stacji Męki Pańskiej. Mówimy o ostatnich pracach Ojca.

W czasie wojny napisał i wydał w ubiegłym roku swoim sumptem obszerną pracę o Jasnej Górze, pt. „Historia klasztoru jasnogórskiego i cudownego obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej”.

Ta książka o przydługim, staroświeckim tytule jest kopalnią nieznanych dotąd faktów, ciekawych wiadomości i szczegółów z przeszłości fortecy i klasztoru jasnogórskiego, wygrzebanych z kronik, z archiwów biblioteki klasztornej i ze szkatuły swoich własnych wspomnień długiego żywota. Owoc studiów, docieklowości historycznej i umiłowania przedmiotu.

— Nie wiedziałem o tej książce — zauważam.

— Bo jej nie ma na półkach księgarskich — mówi Ojciec.

I oto dowiaduję się całej wielce żalostnej historii. Książka ta przeszła przez całą kolekcję sił kontrolnych, cenzury zakonnej, duchownej i państwowej kontroli, publikacji. I przeszła szczęśliwie.

„Nihił obstat”, Częstochowa, 31.X.1945. W. Patykiewicz — cenzor.

„Imprimatur potest” — Częstochowa, die 31 octobris 1945 a.

T. Theodorus Kubina, Episcopus.

Nie ma przeszkód ze strony władzy zakonnej na wydrukowanie niniejszej Historii Cudownego Obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej — O. Augustyn Jędrzejczyk, zastępca zmarłego O. generała.

Dostrzegam dedykację. Pierwszemu częstochowskiemu biskupowi dr. Kubinie... Każdy arkusz zaopatrzony jest stemplem i podpisem urzędnika Państwowej Kontroli Publikacji.

W końcu książki wyszła spod prasy Drukarni Państwowej Nr. 1 w Częstochowie. II 33 — 46 r.

Minął rok od jej wydrukowania, arkusze zalegają składy. Nie ma jej dotąd w księgarniach. Trudno zrozumieć jaki może być powód tego. Przecież nie było żadnej obiekcji władzy państwowej, duchownej i zakonnej. Czyżby to był wybrzyk jakiegoś urzędnika na prowincji, czy działanie jakiejś sily tajemnej, czy tylko jakieś nieporozumienie.

Z rozżaleniem mówi o tym czcigodny kapłan, strażnik dziejopis klasztoru jasnogórskiego, kronikarz i piewca jego chwaty, starych rycerskich tradycji i cnot zakonnych.

Nie posiadała praca metody naukowej, całego balastu bibliograficznego, przejrzystości i systematyczności. Pisana jest sercem gorącym i wrażliwą wielką pasją i odwagą. Chwilami trudno uwierzyć, że mógł to pisać osiemdziesięcioletni starzec, zakonnik, którego obowiązuje rygor.

O wielu sprawach klasztoru pisze jasno, odwrotnie, bez żadnych względów ubocznych. Krytykuje ostro — i to największy walor tej książki. Autorowi chodzi tylko o prawdę i piękno, godność i powagę Jasnej Góry, naszej duchowej stolicy i naszego sanctuarium narodowego, którego godnymi stróżami od wieków są OO. Paulini.

Ojciec Alfons jest konserwatywny w swoich upodobaniach i poglądach. Jest wrogiem wszelkiej inowacyi, zmian, modernizacyi i ulepszeń w architekturze starych murów, nieraz nieodczynnych. Niejednokrotnie naprawdę trudno pogodzić się z czcigodnym autorem. Jednak jakże często ma on rację.

W roku 1912 rozebrano na wielkim kościele organy fundacyi prymasa Szebeka, zbudowanych przez królewskiego organmistrza Kosmowskiego, z myślą o zainstalowaniu innych, i dotąd klasztor nie może się zdobyć na organy godne wspaniałej bazyliki.

Podobna historia z dzwonicą. Wobec urzędzenia krążganków i kaplicy do przechowania Najświętszego Sakramentu na miejscu starego cmentarza fortecznego, osłabiono starożytną stylową dzwonicę. Musiano więc zdjąć dzwon zygmunowski z XVI wieku i inne. Dla umieszczenia tych dzwonów urządzono maszynię między dwoma bramami, sprowadzono majstrów zza granicy. „Zachętało się O. Wincentemu Olszewskiemu” — pisze dalej autor „umieścić je na bramie króla Stanisława Poniatowskiego, więc całą tę bramę zburzono, a prowizoryczną dzwonicę rozebrano. Dzwony poszły pod przykrycie, a maszyniera na szmelc”.

Dzisiaj widok zrujnowanej bramy i brak dzwonów wywiera przykre wrażenie na każdym pielgrzymie i mieszkańcu grodu podjasnogórskiego.

O starej i nowej bibliotece, mieszczącej się w sali dawnego definitorium pisze autor.

„Biblioteka powiększa się stale darami zmarłych kapłanów. Szkoda tylko, że bibliotekami zawiadują tacy, którzy mało interesują się książką, przez to nie znają wartości dobrej książki. Kupuje się książki nowe, ale wydaje niebacznie stare, które są często bardzo wartościowe”.

Trudno nie podzielić z czcigodnym ojcem oburzenia, gdy w ostatnich miesiącach, wycięto piękne i zdrowe drzewa, z górą stuletni klon i dekoracyjne, wiecznie zielone strzeliste świerki podnóża ołtarza szczytowego na tle różowych wałów; zniszczono przepiękny motyw malarski.

Trudno mówić spokojnie, gdy jeden z zakonów żeńskich wybudował jeszcze przed wojną w pobliżu wielopiętrowy dom czynszowy przez co zepsuł piękny widok na klasztor.

Chyba tym ludziom powinno najbardziej zależeć, aby splendor i piękno Jasnej Góry, nieczym nie zostały a uszczuplone.

St. P.

W kraju...

UCHWALENIE PLANU ODBUDOWY I PLANU INWESTYCYJNEGO

W DNIU 3 lipca Sejm uchwalił ustawę o planie odbudowy, a dnia następnego ustawę o planie inwestycyjnym na rok 1947. Zastrzeżenia opozycji dotyczyły przede wszystkim małego udziału gospodarki spółdzielczej i rolnictwa w Planie inwestycyjnym. Z ogólnej bowiem sumy 89,6 miliarda złotych, krajowych środków inwestycyjnych tylko 6,2 miliarda zł, a więc 7,2 proc. przypada na spółdzielczość, 6,9 miliarda zł (8,1 proc.) na gospodarkę prywatną, a cała reszta 72,3 miliarda zł (84 proc.) na gospodarkę państwową.

Nie negując ogromnej wagi rolnictwa w Polsce, nie jesteśmy skłonni zamykać oczu na pierwszoplanowe naszym zdaniem, zagadnienie uprzemysłowienia kraju. Wystarczy przytoczyć, dziwnym trafem, niewykorzystane w dyskusji sejmowej argumenty, że dochód społeczny przypadający na jednego pracownika, zatrudnionego w przemyśle, jest co najmniej trzykrotnie większy od dochodu społecznego, jaki może przypaść w udziale pracownikowi rolnemu. Uważamy natomiast, że sugestie PSL, iż dąży się do zmiany modelu gospodarczego przez specjalne wyróżnianie sektora państwowego, kosztem dwu pozostałych, mają pewne cechy słuszności.

SPRAWY OSWIATOWE

ROZWÓJ reform na odcinku oświaty i wychowania trwa. Minister Skrzyszewski w codziennych pogadankach radiowych uświadamia nauczycielstwu polskiemu kierunki rozpoczętych przemian. Organizowane są obowiązkowe kursy dla wykładowców szkół powszechnych i średnich, a p. Włodz. Sokorski, przewodniczący Rady Szkół Wyższych w kurtuazyjnym lecz w stanowczym tonie utrzymującym artykule na łamach „Odrodzenia” zachęca katolików polskich do „przewyciężenia niechęci do dialektycznego myślenia”.

Sejm w przedostatnim dniu obrad w specjalnej rezolucji wezwał Rząd do szybkiej demokratyzacji szkół wyższych „z zachowaniem struktury samorządu akademickiego i wszystkiego tego, co w nim gwarantuje wolność nauki i nauczania”.

PRZECIW ROZWODOM

W CZASIE głosowania nad dekretem uznającym m. in. ważność rozwodów udzielonych na podstawie prawa radzieckiego w latach 1939—1946 obywatelom polskim z Kresów Wschodnich, poseł Bieńkowski (Kat.-Sp.) zgłosił wniosek o odwołanie dekretu, ponieważ godzi on w nierozważalność małżeństw w Kościele Katolickim. Wniosek upadł.

MSZALIK DLA DZIECI

Nakładem Księgarni św. Jacka w Katowicach ukazała się mała 36-stronicowa broszurka pt. „Dzieci uczestniczą w mszy świętej”. Małuski ten mszalik, ułożony przez księży katechetów diecezji katowickiej, obok tekstów dostosowanych ściśle do poszczególnych części mszy św., zaopatrzonej jest w zwężki i przejrzyste uwagi, doskonale ułatwiające dziecku czynny udział w mszy św. — oraz w pieśni mszalne. Tekst jest układany z myślą o chórnej recytacji. Cena zł 10.—.

KSIEGARNIA ŚW. JACKA
KATOWICE, WARSZAWSKA 58

jąc mechanicznie garść artykułów. Autor nie uniknął także szeregu niedociągnięć i usterek w gromadzeniu wielkiego materiału faktycznego. Zarzuty te jednak, acz istotne nie mogą kusić się o obalenie tez zasadniczych. A. Bocheńskiemu zarzucano pominięcie zagadnień społecznych i gospodarczych. Rzeczywiście, dalsze studia w tym kierunku są potrzebne, niemniej wydaje się, że przez ich opuszczenie, książka zyskała na jasności. Trzeba pamiętać, że kiedy grają armaty i płonie dach nad głową, o rachunku nie decydują reformy socjalne ni gospodarcze działające na dłuższą metę ale element ściśle polityczny, dający natychmiastowe rezultaty.

Czwartym zarzutem, z którym się spotkałem jest stosowanie przez autora rzekomo „nacjonalistycznego” kryterium w ocenie posunięć przy-

Jerzy A. Górski

Wokół reformy Szkół Wyższych

W ostatnich miesiącach nasza prasa publicystyczna poświęca dużo miejsca przybierającej wciąż na sile dyskusji na temat zapowiadanej przez czynniki rządowe reformy szkół wyższych. Wśród ogromnej ilości wypowiedzi zarówno popierających projekty przeobrażenia struktury uniwersytetów, jak i zwalczających je, nie dostrzegliśmy dosłownie ani jednej, która poza mniej lub więcej teoretycznymi rozważaniami zawieralaby również realną troskę o studiującą młodzież.

Poruszono tu niemal wszystkie zagadnienia pozostające w jakimkolwiek związku (często bardzo luźnym) ze sprawą autonomii uniwersytetów, przeciwstawiono sobie najprzeróżniejsze teorie naukowe i filozoficzne — świadczy to niewątpliwie o wysokim poziomie dyskusji i należytych docenieniu wagi problemu. Zapomniano jednak zupełnie o stronie prozaicznej zagadnienia — pominięto potrzebę zastanowienia się nad uregulowaniem życia młodzieży akademickiej.

Uniwersytety funkcjonują w Polsce od dwóch zaledwie lat; borykają się z niezliczonymi trudnościami przyczyną od chwili rozpoczęcia ich działalności, stanowią przedmiot ataków. Wytworzona atmosfera nie sprzyja bynajmniej produktywności pracy naukowej, wpływa na dalsze kosztowne zajęcie przez większość profesorów stanowiska i co najgorsze dezorientując studentów, umacnia w nich nieraz fałszywe pojęcia. Akademicy obecnie nie lubi swej Alma Mater — jest mu ona całkowicie obojętna, odpłaca więc jej wzajemnością. A jednocześnie wiemy przecież, jak silny staje się pęd do nauki, który potrafi porwać nawet zdeklarowanych zdawałoby się wykołajców wojennych.

Min. Skrzyszewski w serii swych kolejnych oświadczeń, za każdym razem gwałtownie występował przeciw faszystowskiemu tendencjom, nurtującym w środowiskach akademickich. Wspominał też niezmiennie o konieczności wprowadzenia na uniwersytety pionierów przyszłej inteligencji pochodzenia robotniczego i chłopskiego.

„Głos Ludu” i „Głos Robotniczy” (zaznaczam wychodzący w Łodzi), posiadający rzekomo postępowy uniwersytet i inne pisma marksistowskie pisały już niejednokrotnie i piszą nadal w zgoła niewybrednej formie o niezbędnym wyrugowaniu z uczelni wyższych elementów reakcyjnych — „kapitalistyczno - burżuazyjnych”. Równocześnie te same dzienniki ubolewają nad głodującymi studentami, cierpiącymi ponadto na skutek braku odzieży i dachu nad głową.

Zdaje się, że zaszło tu nieporozumienie.

W swoim czasie, kiedy premierem był p. Osóbka - Morawski mówiono kilkakrotnie o udziale młodzieży akademickiej w ruchu niepodległościowym. B. Premier podkreślał chęć

wódców. Chodziłoby o kryterium dotyczące wzmacniania, bądź osłabienia siły narodu w konsekwencji tych czy innych decyzji przywódców. Zarzut ten nie wydaje się być uzasadnionym. Wprawdzie dziś weszliśmy w okres łączenia się narodów w wielkie geograficzne skupiska i wiele wskazuje, że proces ten może doprowadzić do jednolitości politycznej świata, — jednak nawet gdyby rozwój zdarzeń poszedł w tym kierunku, narody zawsze, póki istnieją będą miały głos, a od ich prężności duchowej i siły gospodarczej, będzie zależeć jaką rolę odegrają w pokojowym koncercie narodów zjednoczonych. Trzeba pamiętać, że zarówno w ZSRR jak i w USA niewspółmierną jest rola Rosji w stosunku do Tadżykistanu, lub też stanu New York do pięknej lecz bezpłodnej Arizony. Pokojowe współzawod-

naprawienia błędów przeszłości, zapewnią o uznaniu zasług poniesionych w okresie konspiracji i powstania, otwierał drogę do Związku Uczestników Walki o Wolność i Demokrację. Dziś p. Skrzyszewski znów formułuje stare zarzuty. A przecież właśnie p. ministe Skrzyszewski, zajmujący przez rok stanowisko ambasadora R. P. w Paryżu, winien zdawać sobie sprawę, jakie nastroje istotnie panują w grupach studentów Zagranicą można się było w tym zorientować znacznie lepiej, niż w kraju. Mimo propagandy londyńskiej i nader niezręcznej, propagandy za powrotem do Polski — młodzież wracała, a w jej liczbie i ci którzy studiowali już na tamtejszych uniwersytetach i mogli na nich w dalszym ciągu pozostać.

Zresztą akademicy nigdy nie dostarczali żadnych dowodów na poparcie oskarżenia ich o reakcyjność. Wręcz przeciwnie — gdy tylko pozwalano im na to wykazywali swe społeczne podejście i dobrą wolę.

Min. Skrzyszewski i jego współpracownicy pragną zapełnić luki powstałe na skutek wojny — przez przyspieszenie studiów.

Jednak nie uczyniono dotychczas prawie nic, aby udostępnić młodzieży nadrobienie straconych lat studiów. A chodziło tu przecież o najwarteściowszą część młodego pokolenia. Tych co poświęcili swe siły i czas walce z okupantem, nierzadko nie mogą nawet uczęszczać na kursy tajne. Stworzono wprawdzie przyspieszone gimnazja i licea oraz kursy wstępne przy uniwersytetach, zawsze jednak przeznaczano je dla udostępnienia nauki młodzieży nowowstępującej. Myśl ta jest niewątpliwie słuszna i realizacja jej idzie po linii sprawiedliwości społecznej, dlatego jednak zapomniano o młodzieży uczącej się już przed wojną, która spędziła najcięższe lata w konspiracji.

Młodzież chce się uczyć okazuje w tym kierunku dużo zapału, mimo ciężkich warunków, w jakich pozostaje większość akademików. Gdyby pozwolono im szybciej kończyć studia z zachowaniem jednak wszystkich naukowych rygorów, uczyliby się niemniej uczciwie, niż to czynią obecnie i co ważniejsze z większym entuzjazmem. Włóczęni zaś w kanoniczne ramy czasowego systemu — obojętniają. Przytłacza ich dziwna atmosfera beznadziejności — studium staje się nieznośną pańczyną. Stąd między innymi pochodzi tylekroć potępiany kult „papierka” - dyplomu.

Na wielu naszych uniwersytetach nie istnieje życie akademickie w pełnym znaczeniu tego słowa. Student przychodzi wtedy, kiedy musi, kiedy za nieobecność grożą mu sankcje karne. Większość słuchaczy pracuje zarobkowo co również oddala ich od rzetelnych studiów. Studenci prawie

nie mają się między sobą, poza

nie to zjawisko nie obywa się bez politycznych konsekwencji dla narodu. Pierwszy kamień pod wyrównanie tej groźnej luki rzucił odważnie Aleksander Bocheński. „Pamflety” winny się stać wezwaniem do historyków, zwłaszcza młodych. Niech narodziny naukowo opracowanej historii naszego dziejopisarstwa, które piekący brak staje się dla historyków nakazem, poprzedzi wszechstronna, wyczerpująca i pełna powagi dyskusja. Bodźcem do niej będą „pamflety dziejopisarskie”, pomimo nieprawidłowości układu i niejednej usterki w swojej nerwowości i gorączkowym stłoczeniu problemów.

Dziś bardziej niż kiedykolwiek potrzebna nam nie tylko fermentu myśli ale i rachunku sumienia.

Stanisław K. Rostworowski

Bratnią Pomocą, ograniczają się poważnie do wykonywania funkcji akademickiego urzędu zaopatrzenia, nie ma żadnej organizacji, stwarzającej teren pod pracę kulturalno społeczną. Dozwolone organizacje akademickie mają jak dotychczas charakter jednostronny ideowo.

W Polsce nigdy środowiska studenckie nie znały owej radosnej bezdrośki, jaką odznaczają się akademicy wszystkich niemal państw świata. U nas panowała zawsze atmosfera ponura. Wszelkie zaś przejawy żywotności takie czy inne czynniki polityczne wykorzystywały dla swych własnych celów, co nieraz doprowadzało do godnych pożałowania wybryków, za które najmniejszą winę ponosiła młodzież.

Naród nasz zbyt wielkie przechodził cierpienia, aby nie odbiło się to na jego psychice. Dlatego można zrozumieć, że polski student nie potrafi brać wszystkiego na wesoło, nieczym jego kolega z Boulevard Saint-Michel. Mimo to należy stopniowo dążyć do odświeżenia powietrza na uniwersytetach i wytworzenia nowego typu akademika na miarę raczej zachodnio - europejską. Przedłużenie okresu młodości z pewnością odbije się dodatnio na sposobie prowadzenia studiów i ich wyniku. Aby tak się stało nie wystarczy polepszenie warunków materialnych młodzieży akademickiej. Przede wszystkim należy zaprzestać stosowania rozmaitych metod zdających całkiem jawnie do zwężenia horyzontu myślowego studentów. Nasza młodzież dojrziała przedwcześnie myśli i postępuje znacznie poważniej, niż to się wydaje Ministerstwu Oświaty. Należy jej pozostawić swobodę działania i dać możliwość wyżycia się na właściwym gruncie.

Podkreśliłmy dwie jeszcze okoliczności nękające młodzież studencką. A więc przede wszystkim biurokracja. Panoszy się ona na wszystkich uniwersytetach — brak wymaganego świszka (nie mam na myśli oczywiście matury), powoduje nieraz usunięcie z uczelni. Kiedy wchodzi się do sekretariatów uniwersyteckich trudno nie zwiesić smętnie głowy, przypomniałszy sobie wyrażony przez prof. Chałasińskiego postulat „powszechnej życzliwości”. Rekordy braku uprzejmości i żośliwego stosunku bije Uniwersytet Łódzki: w sekretariacie używa się w stosunku do studentów trzeciej osoby. (Czego sobie życzysz? Niech przyniesie indeks; tak nie łgarstwo). Wszelkie sprawy zaś załatwia się tam według wzorów magistrackich (ściśle odliczone godziny, kilometrowe kolejki i t. p.). Specjalne uznanie należy się wożnym U. Ł., doskonale wywiązującym się z nałożonych im zadań cerberów. Ordynarne epitety i zwiska są na porządku dziennym, reżeczyny nie należą również do rzadkości. Autor artykułu sam był świadkiem potarbowania studentki przez

woźnego za niedość szybkie usunięcie się z sali, ponieważ minęła godzina przyjmowania interesantów. Tak dzieje się na uniwersytecie w Łodzi. Czas już z tym skończyć.

Jeżeli władze pogodziły się już z faktem, że słuchacze wydziałów prawniczych i ekonomicznych i humanistycznych pracują zarobkowo — nie stoi na przeszkodzie, by obsadzić nimi pewne stanowiska w administracji uniwersyteckiej. Będzie to z wielkim pożytkiem, zarówno dla władz akademickich, jak i samych studentów.

I wreszcie jeszcze jeden bolesny problem. Dla nikogo nie jest tajemnicą, że na niektórych uczelniach między katedrą, a reszta auli wytworzyła się przepaść, coraz bardziej pogłębianą. Profesor nie ma zaufania do studenta i odwrotnie. Z chwilą bowiem kiedy student traktuje naukę jako zło konieczne prowadzące poprzez „odwalanie” egzaminów do upragnionego dyplomu, podważa tym samym podstawy życzliwego stosunku i młodzież. Nie bez winy jest tu i część profesorów apodyktycznie uznających pokolenie okrzepłe w okresie konspiracji za przedstawicieli anarchistycznych idei. W pewnym sensie wydaje się to nieporównane cech słuszności: młody człowiek, mający za sobą partyzantkę, powstanie, więzienie czy obóz nie drży przed egzaminem, bagatelizuje niejako jego wagę. A tego część profesorów, sięgających głowami nieba — bardzo nie lubi.

Tylko realizacja postulatów „powszechnej życzliwości” może przywrócić stosunki odpowiadające dostojnej tradycji uniwersytetów.

Powróćmy raz jeszcze do sprawy organizacji młodzieży akademickiej. Utworzenie ich — to nieodzowny warunek pełnego życia społecznego i kulturalnego młodzieży. Trudno, nie każdemu odpowiada Z.N.M.S. czy „Życie”. Rażąco szczególnie brak stowarzyszeń katolickich musi być wreszcie usunięty.

Reaktywowane organizacje studenckie jak i nowe stowarzyszenia studenckie powołane do życia przyczynią się do uzdrowienia atmosfery, przełamią bariery nieufności i zadrzeń dzielące młodzież od czynników oficjalnych. Fałszywe to mniemanie, że organizacje te nawiążą do „faszystowskich tradycji przedwojennych”. Nie wolno zapominać, że młodzież akademicka stała w pierwszym szeregu w walce z faszyzmem. Burdy zaś z powodzeniem urządzić potrafi i młodzież nieorganizowana.

W świetle powyższych rozważań jasno ukazuje się prawdziwy cel reformy Szkół Wyższych, takiej jaka powinna być dokonana: polegać winna ona nie na zmianie biurokratycznych urządzeń na inne, ale przede wszystkim na zapewnieniu młodzieży możliwości swobodnej i nieskrępowanej niedostatkiem materialnym na

JKRZY A. GÓRSKI

Jan Len

ZŁADROGA

Francuskie echa

W świecie...

Pomimo, że już blisko trzy lata upłynęły od chwili oswoobodzenia Francji spod okupacji, a przeszło dwa lata od momentu zakończenia wojny — daleką jest jeszcze Francja od pełnej normalizacji stosunków i warunków ekonomicznych. Organizm gospodarczy Francji przypomina pacjenta w okresie rekonwalescencji; pacjenta, który nie tylko że nie może przyjść do siebie po ciężkiej chorobie, ale u którego dają się zauważyć objawy świadczące o pogorszeniu stanu zdrowia.

Problem nie sprowadza się dzisiaj we Francji jedynie do tego, czy rząd będzie w możności przeprowadzić śmiały program odbudowy i modernizacji przemysłu zakreślony planem Monnet'a, ale polega na tym, aby nie dopuścić do jeszcze głębszych zahwiań równowagi gospodarczej i finansowej niż te, które mają miejsce obecnie.

W dniu 4 maja podczas dyskusji nad votum zaufania w Zgromadzeniu Narodowym, Premier Ramadier podał wytyczne polityki ekonomicznej, które zdaniem rządów umożliwią wybitniejsze z przeżywanego obecnie kryzysu. Najważniejsze wytyczne tej polityki są następujące:

1. utrzymanie obecnego poziomu cen,
2. niedopuszczenie do obciążenia kosztów produkcji zwykłą płacą, która w obecnym stanie rzeczy przyczyniłaby się mogła do obalenia waluty, a tym samym do pogorszenia sytuacji materialnej świata pracy,
3. ograniczanie liberalizmu gospodarczego na rzecz gospodarki kierowanej. Ograniczanie to polega na rozszerzeniu zasięgu stosowania form przymusu wobec społeczeństwa.

Tak się złożyło, że właśnie na tych trzech odcinkach społeczeństwo lub jego odłamy wypowiedziało się przeciw wytycznym rządu.

Miesiące wiosenne bieżącego roku były pod znakiem ogólnej wyższości cen, a w maju wskaźniki cen osiągnęły najwyższe dotąd poziomy wykazując w stosunku do kwietnia wzrost 5,9% jeśli chodzi o ceny detaliczne i 11,7% jeśli chodzi o ceny hurtowe. W ten sposób pomyślnie zaczęła wczesną zimą ub. r. akcja Bluma zmierzająca do obniżenia cen zaczęła się załamywać. Częściowym wytłumaczeniem powyższego zjawiska jest okres przednowkowy, a również fakt rozluźnienia rygoru sztywności cen przez sam rząd (np. celem sprawniejszego zaopatrywania większych ośrodków miejskich rząd podniósł z własnej inicjatywy ceny mięsa).

Ogólna wyższość cen, a przede wszystkim cen artykułów żywnościowych, jak również chroniczny brak chleba były powodem niezadowolonych szerokich mas pracujących i wysuwanie przez nie różnych żądań popartych strajkami. Żądania robotników idą głównie w kierunku przyznania im różnych dodatkowych premii, które są faktycznie podwyżką płac. Rząd przeciwstawia się im usilnie uzależniając ich przyznanie od wzrostu produkcji oraz stara się odroczyć ich uregulowanie na koniec roku. W wielu jednak wypadkach Rząd ustępuje i przyznaje doraźnie nieznaczne premie.

Równocześnie daje się zaobserwować atak przypuszczony na Rząd mający na celu rozluźnienie rygoru polityki kierowanej. Atak ten koncentruje się przede wszystkim na froncie wolności handlu. Panuje bowiem ogólne przekonanie, że poprawa żywienia jest hamowana przez „błędną politykę rzekomo kierowaną”, która przez niedomagania dystrybucji handlowej przyczynia się do rozwoju czarnego rynku, gromadzenia zapasów i powstawania skandalicznie wysokich zysków handlarzy i kupców.

Podkreślić tu należy że w powyższych atakach jedno z czołowych miejsc zajmują ugrupowania lewicowe nie wyłączając komunistów, którzy specjalnie ostro krytykują etatyzm ekonomiczny i biurokratyzowanie handlu (reglamentacja) nawet takimi produktami, których produkcja jest wystarczająca. Na marginesie powyższych żądań będących w wielu wypadkach słusznymi daje się jednak zaobserwować zupełny brak dyscypliny w społeczeństwie, a szczególnie drobnych przedsiębiorców i kupców (np. kupcy nie czekając na zarządzenie rządu przestali żądać punktów i bonów przy sprzedaży wyrobów tekstylnych, przyczyniając się tym samym do zwiększenia chaosu na odcinku cen).

W dziedzinie finansowej — do najważniejszych wydarzeń w ostatnim czasie zaliczyć należy — przedłożenie przez Ministra Skarbu projektu budżetu z wyliczonym na II półrocze br. oraz na przyznanie przez Międzynarodowy Bank Odbudowy i Rozwoju pożyczki 250 milionów.

Powiedzenie, że Minister Skarbu przedłożył preliminarz budżetowy jest eufemizmem, gdyż większość działów nie została nim objętych. Wydaje się, że zlikwidowanie niedoboru, który wynosi według preliminarza 18 miliardów franków będzie zadaniem bardzo trudnym, skoro ceny a za nimi i płace (w formie premii) idą w górę. Ponadto jeżeli się również uwzględni, że wpływy budżetowe są mniejsze od przewidywanych, (które oparte były na przypuszczalnej poprawie koniunktury) — sądzić, można, że wbrew zapowiedzi rządu zwyczajny budżet tegoroczny zamknie się deficytem.

Ogólna sytuacja skarbowa nie jest wesoła. Rząd poza bieżącymi wydatkami musi zasiląć potrzeby finansowe znacjonalizowanych przedsiębiorstw, które polegają między in-

nyymi na obowiązkach spłaty wywłaszczonych akcjonariuszy. Ponadto, udzielać musi kredytów prywatnym przedsiębiorcom wobec wyczerpywania się kredytów w bankach, których pozostałe rezerwy są reprezentowane w przeważającej części przez papiery państwowe.

To też cicha inflacja trwa dalej. Bilans banku Francji na koniec maja rb. wykazuje zadłużenie Państwa do wysokości 63,7 miliardów franków (przy rekordowej cyfrze obiegu banknotów 775 miliardów) co łącznie z bezprocentową pożyczką zaciągniętą z upoważnienia parlamentu w kwietniu wynosi 113 miliardów franków.

Analogicznie przedstawia się sytuacja na odcinku bilansu płatniczego, który pomimo przyznanej pożyczki z Międzynarodowego Banku (jak wyżej) wyniesie w bieżącym roku ok. 400 mil. dolarów.

W wypadku nie otrzymania środków na pokrycie tego niedoboru, zajdzie konieczność zmniejszenia importu, co przyczyniłoby się do zmniejszenia produkcji oraz zahamowałoby tempo przeprowadzanych obecnie inwestycji.

Wyżej przedstawiona sytuacja na odcinku budżetu i bilansu płatniczego wyjaśnia przyczyny, dla których rząd zażądał w planie finansowym przedłożonym ostatnio Zgromadzeniu Narodowemu:

a) upoważnienia do użycia 250 milionów dolarów stanowiących mniej więcej trzecią część rezerwy złota Banku Francji na pokrycie importu ze Stanów Zjednoczonych.

b) podwyższenia cen na szereg usług (np. taryfa kolejowa) i artykułów konsumpcyjnych (np. tytoń, zapalki i t. p.).

Pomimo, że środki zaproponowane przez rząd zostały przyjęte przez Parlament nie można ich uważać za zasadnicze rozwiązanie problemu gos-

podarczego Francji albowiem istotne przyczyny tkwią głębiej.

Na pierwszy rzut oka kryzys gospodarczy Francji jest rzeczą niezrozumiałą. Francja w porównaniu do innych państw Europy (w znacznie większym stopniu wojną zniszczonych) otrzymała w ciągu ubiegłych dwóch lat olbrzymią pomoc z zagranicy. Pomoc ta wyniosła — niezależnie od ostatniej pożyczki z Międzynarodowego Banku — 2180 mil. dolarów kredytu. Bez wątpienia więc do zaistnienia obecnej sytuacji przyczynił się nie brak pomocy zagranicznej, a tylko czynniki wpływające z wewnętrznego układu stosunków politycznych i wewnętrznej polityki gospodarczej. W związku z tym dochodzimy do następujących wniosków:

1. Polityka rządów we Francji związana jest nierozdzielnie z realizacją Planu Monnet'a. W swym założeniu Plan Monnet'a ma doprowadzić do pełnego odrodzenia gospodarczego kraju i dlatego modernizacja środków produkcji zostaje uznana za zagadnienie podstawowe. Modernizacja ma na celu nie tylko osiągnąć poziom zdolności produkcyjnej i ożywienia gospodarczego w roku 1938, ale ma doprowadzić do ich zwiększenia — i innymi słowy chodzi o wstrzymanie procesu dezynwentyzacji i malejącego wykorzystywania zdolności przemysłowej, które w okresie międzywojennym świadczyły o gospodarczym podupadaniu kraju. Program ten pociąga za sobą tę konieczność przeprowadzenia inwestycji na bardzo dużą skalę co stanowi zbyt duży wysiłek na osłabionej wojną gospodarkę francuską.

2. Udział społeczeństwa w formie dobrowolnej oszczędności został w sfinansowaniu projektowanych inwestycji zbyt optymistycznie oceniony. Ograniczanie konsumpcji i przezna-

(DOKONCZENIE NA STR. 12)

Zagadnienia i poglądy

O miesięcznikach bloku rządowego

Przeżywamy ciekawy okres renesansu prasy miesięcznej w Polsce. Aby szukać porównania ze stanem obecnym, trzeba chyba sięgnąć do czasów sprzed I-ej wojny światowej, kiedy to jezuitki Przegląd Powszechny, stańczykowski „Przegląd Polski”, lub narodowy: „Przegląd Wszechpolski” reprezentowały ten typ wydawniczy. W okresie dwudziestolecia międzywojennego pierwsze miejsce zajmowały: „Przegląd Współczesny” oraz „Droga”. Ta ostatnia zresztą stanowiła nader oryginalny i ciekawy typ redakcyjny. Obecnie pragniemy omówić krótko trzy miesięczniki obozu rządowego. PPR-owskie „Nowe Drogi”, „Przegląd Socjalistyczny” i SL-owska „Myśl Chłopska”.

Oba pierwsze miesięczniki są przede wszystkim ideologiczne. Nie zawierają więc wcale, albo też bardzo mało materiału naukowego czy obiektywnego, jak to czyniły miesięczniki francuskie, a z naszych „Przegląd Powszechny” czy „Przegląd Współczesny”. Natomiast lwia część numeru jest poświęcona rozpatrywaniu, rozszerzaniu i wykładowi swojej doktryny polityczno - społecznej, lub też naświetlaniu faktów z punktu widzenia tej doktryny. A więc w n-rze 3-im „Nowych Dróg” mamy następującą treść ideologiczną: dwa artykuły Wice-premiera Gomułki, jeden Min. Minca. Byliny: o Konferencji Moskiewskiej, Fiedlera „U źródle niedorozwoju kapitalizmu w Polsce” Werfla „Istota nowoczesnego państwa i problem biurokratyzmu”. Rynga: „U

źródle błędów Luksemburgizmu”. Michajłowa „Nauka badawcza a planowanie” Maublanc: „Marksizm a wolność”. Na 220 stron, artykuły wyżej wymienione obejmują przeszło 100, z tym, że pozostałe też trudno nazwać działem informacyjnym, lub też obiektywnie rejestrującym i omawiającym fakty.

Do szczegółowego omówienia też ideowych „Nowych Dróg” zamierzamy jeszcze wrócić.

„Przegląd Socjalistyczny” przy równie bogatym dział ideologicznym, i braku artykułów naukowych, usiłuje przynieść obszerną kronikę, pod tytułem „Na horyzoncie”. Dział ten jest próbą ciekawą, choć materiał jest niejednolity, zarówno pod względem doboru tematów jak i opracowania. Zobaczymy w przyszłych numerach w jakiej formie zostanie on skrytykowany.

Można by powiedzieć trawestując z francuskiego przysłowia, że oba te pisma posiadają „zalety swoich wad”. Wadą ich jest brak materiału literackiego (powieść, nowela, krytyka literacka), oraz brak materiału obiektywnego naukowego. Stąd zwięźlenie dobrowolnego grona czytelników do wyznawców zdecydowanych własnej doktryny politycznej. Zaletą tych wad pozostanie już tylko tym większy wysiłek dla pogłębienia tej wąskiej, ale własnej ideologii. Czy ten kierunek sprzyjać będzie poziomowi prasy miesięcznej polskiej o tym się niedługo będziemy mogli przekonać.

Nieco inny typ pisma postanowili stworzyć redaktorzy „Myśli Chłopskiej”. Dwa numery dotąd wydrukowane dają raczej nadzieję na „magazyn”, który może być przydatny dla każdego człowieka interesującego się współczesną polityką ekonomiczną czy socjologią, bez względu na przynależność partyjną. Dział międzynarodowy jest tak obszerny i gruntowny, że jest to jedyne pismo które — gdyby komu przyszła fantazja przetłumaczyć naszą prasę na inne języki, mogłaby wytrzymać tę próbę, i stać się ciekawą lekturą pod każdą szerokością geograficzną. Gdyby można porównać miesięczniki do tygodników, „Myśl Chłopska” to byłoby „Odrodzenie”, „Nowe Drogi” zaś „Kuznica”. „Przegląd Socjalistyczny” nie ma swego tygodniowego odpowiednika.

Szkoda tylko, że swój kapitałny i niezwykle obszerny dział faktyczny zaśmieca redakcja „Myśli Chłopskiej”, tak perfidnie pomyślanymi wtyczkami jak art. ks. Kłosa o polityce Watykańskiej, lub notatki anonimowej o Kardynała Spellmanie. Wtyczki te sprawiają, że mimo iż na 130 stron; artykułów zasadniczych jest ich tylko 8 stron, jednak całość nakazuje dużą nieufność, i osłabia wiarę w obiektywność pisma. Bez tych niepotrzebnych a rozsianych po całym n-rze dodatków, mogłoby ono, dość niespodziewanie dla samych redaktorów, zająć czołowe miejsce wśród polskiej prasy.

A. B.

W świecie...

NIEPOWODZENIE

WKONFERENCJI PARYSKIEJ W ALCZĄCE z piętzącymi się trudnościami gospodarczymi państwa europejskie przeżywają nowe rozczarowanie. Po trwających blisko tydzień obradach minister spraw zagranicznych ZSRR opuścił Paryż nie osiągnąwszy porozumienia. Z oświadczenia jakie złożył min. Molotow dowiedzieliśmy się, że ZSRR zajął stanowisko negatywne wobec projektu Marshalla i jego francusko-brytyjskiej interpretacji widząc w amerykańskich propozycjach dążenie do utrwalenia dominacji mocarstw nad małymi krajami. Niepowodzenie konferencji paryskiej nie oznacza jednak bezcelowości dalszych wysiłków na polu zorganizowania międzynarodowej współpracy gospodarczej. Kryzys w Stanach Zjednoczonych pogłębia się stale spowodowany między innymi brakiem rynków zbytu dla eksportu. Z ostatniego sprawozdania Trumana w Kongresie wynika jasno, że rynki zbytu zostaną otwarte tylko w wypadku udzielenia kredytów państwom zainteresowanym w imporcie towarów amerykańskich. Toteż należy spodziewać się ponownia propozycji Marshalla w zmienionej niewątpliwie formie. Trudno przewidzieć na czym będą polegać te zmiany. Wydaje się prawdopodobne, że Stany Zjednoczone w dalszym ciągu nie zrezygnują ze starań aby znaleźć język porozumienia z Rosją. Koncepcja Bloku Zachodniego byłaby może ze względów politycznych wygodna dla pewnych czynników rządzących za oceanem — nie rozwiązuje jednak zagadnień gospodarczych trapiących Stany Zjednoczone.

SPISEK ANTYREPUBLICANSKI WE FRANCJI

FRANCJA przeżywa obecnie nową sensację a wraz z nią i nowe powikłania w dziedzinie polityki wewnętrznej. Wbrew pozorom sprzed dwóch tygodni nasilenie fali strajków nie zmalało, w Indochinach utrzymuje się naprężona sytuacja, Abd-el-Krim zapowiada wystąpienie na najbliższej sesji ONZ — tymczasem zaś wykryto spisek antyrepublikański. Część prasy francuskiej bądź sugeruje, że spisek inspirowany był przez de Gaulle'a, bądź też wskazuje na rzekomy związek spiskowców z osobą generała. Nazwiska aresztowanych wskazują wyraźnie na pokrewieństwo zdekonspirowanej organizacji z „La Gaule” i innymi grupami politycznymi o charakterze faszystowskim. Czołowy działacz komunistyczny prof. Bayet w swej książce „Petain et Vichy” kreśli wyraźnie sylwetkę majora Loustaneau-Lacan, jednego z filarów spisku. Bayet, doskonale zorientowany w stosunkach konspiracyjnych wiedziałby niewątpliwie o kontaktach istniejących między Loustaneau a de Gaullem za pośrednictwem pika de Varin (Passy) jak tego dowodzą niektórzy komentatorzy prasowi. Bayet stwierdza coś wręcz przeciwnego... Nie ulega wątpliwości, że skorzystano z nadarżającego się pretekstu, chcąc skompromitować generała de Gaulle i jego zwolenników. W powojennej Europie codziennym zjawiskiem stał się fakt, że ludzie „ancien regime” wciskają się w szeregi stronnictw politycznych o nastawieniu chrześcijańsko-demokratycznym i narodowym. Podobnie dzieje się we Francji zarówno jeśli chodzi o de Gaulle'a jak i MRP. Śledztwo wykazuje zapewne bezpodstawnosć zarzutów łączących de Gaulle'a z mohikanami „piątej kolumny”.

W związku z zażądaniem przez premiera Ramadier votum zaufania, po ostrej utarczce z posłem prawicy, na widownię wstępują posłowie komunistów, którym wypadnie zdecydować o dalszych losach rządu. Istnieje możliwość, że niebezpieczeństwo grożące Republice spowoduje zmianę dotychczasowego stanowiska SFIO i MRP i powrót rządów koalicyjnych.

I. NAUKA HISTORYCZNA I PUBLICYSTYKA

Nielatwo osądzić publikacje usiłujące trafić zarazem w serce i rozum czytelnika. Bardzo rzadko udaje się to jakiemuś autorowi, niezależnie od stopnia talentu i wiedzy. Cóż dopiero w książce z pogranicza historii i publicystyki: łatwo ją zdyskwalifikować przy wyłącznym zastosowaniu kryterium nauki i trudno przyznać renomę namaszczonej powagi, gdy w oczach naukowo wyrobionego czytelnika pozostaje z niej bardzo mało, prócz tak pewnego temperamentu, czyli pewnego zacięcia publicystycznego.

Rzucam tu od razu jaskrawy przykład, wskazując nieporównanie mocną pozycję: Antoniego Chołoniewskiego „Duch dziejów Polski”. Obruszy się na to od razu wielu miłośników historii i polityki: — czy doprawdy mocną? I słusznie. Wszak nauka historyczna, zwłaszcza historia ruchów społecznych, ratuje dziś nie wiele suchych nici z Chołoniewskiego, „chwalczy przeszłości dziejowej”, „gloryfikatora szlachetczyzny”, namiętnego szowinisty”, „krzywego zwierciadła naszej rzeczywistości historycznej”, jak się to po 30 latach od pierwszego wydania poczytnej niegdysz książki słyszy. Narodziny podobnej publikacji byłyby dziś, na progu ponownego odrodzenia państwowości polskiej nie do pomyślenia. A jednak dzieło napisane z niepospolitą swadą publicystyczną miało cztery wydania i wywarło niemały wpływ na umysłowość polską, urobiło mnóstwo pojęć obiegowych w większym stopniu niż jej autorka Aleksandra Świętochowska „Genealogia teraźniejszości”. Ludzie myślący, prawdziwie inteligentni i dialektycznie biegli, ulegali fascynującemu czarowi obu dzieł historyzoficznych. Nie podawali się mu i bronili przed nim z jak najdalej idącym krytycyzmem, ale nieśmiało i pokątnie (ku niepowetowanej szkodzi kultury politycznej), typowi przedstawiciele nauki. Odrzucają oni zwykle, nie bez słuszności, wszelkie elementy subiektywne w książkach, dotyczących tematów historycznych, nie uznają do nich innego podejścia jak z metodyką archiwalną, o której jednak mówi się tutaj z obowiązkowym przekąsem... o tyle, o ile trzeba to czynić dla zastrzeżenia się przeciwko uprzedzeniu do publicystyki lub jej lekceważeniu.

Czcigodni mężowie o takim podejściu nie doceniają należycie znaczenia utworów publicystycznych w kształceniu opinii społeczeństwa, odseparowują się od niezmiernego morza laicyzmu, bynajmniej nie z życzliwości dla sukcesów dyletanckich wystąpień historycznych, ale i nie wyciągają żadnych wniosków praktycznych dla siebie z tych sukcesów.

A wnioski są zupełnie proste: jeżeli wielkie powodzenie mają „Wieczory pod Lipą”, czyli historia Polski popularna, napisana dla młodzieży i ludu, przez Lucjana Siemieńskiego, bardzo inteligentnego literata ale nietęgiego historyka, pogardliwie traktowanego przez wyniosłą historiografię jako „bajcarz” i „banialukarz”, to dlaczego — zamiast niego — nie napisze barwnej historii specjalistycznej, bardziej kompetentny? Z nieodownym wszakże zastrzeżeniem, iż będzie stała na wysokości wymagań formalno-literackich! Siemieński miał talent, ale nie rozporządzał aparaturą naukową, z powodu czego zresztą nie żywił fałszywych pretensji lub ambicji, a jednak czytelnicy — życie! — orzekło, że waż-

niejszy jest ów talent pisarski od źle podanej uczoności. Bagaż erudycyjny w uprawianiu dziedziny pisarskiej — jak widać — jest sprawą wtórną, rozumiejącą się samo przez się, wysoce pożądaną i cenną; wszyscy czytelnicy bez wyjątku wolą historię z prawdziwych zdarzeń, pisaną nie przez profanów, mijających się z kryteriami naukowymi, ale przez autorów z powołania, wykazujących rzetelną wiedzę lub co najmniej znakomite odczytanie w uprawianym dziale piśmiennictwa. Czytelnicy (w pojęciu szerokich mas) nie znoszą jednak zdecydowanie braku talentu, braku temperamentu pisarskiego, ubóstwa wyobraźni (nie fantazji!) u autora. Niechaj dziejopis zna multum źródeł naukowych, niech oczywiście nie zabiera się do pisania bez dokumentarnej znajomości przedmiotu, lecz przede wszystkim niechaj nie zabiera się do rzemiosła bezdusznie, bez głębszego ukochania przedmiotu, specjalnych zdolności pozyskiwania sobie przyjaciół słowa drukowanego. Niech nie naśladuje Niemców unicestwiających cechy czysto ludzkie w ofiarach wiwisekcji i badawczych ślepczeń.

Jakże istotne słowa wyszły spod pióra historyka Stefana Kieniewicz: „Zupełnie się godzę, że historycy polscy za mało dbali o popularyzację swej pracy. Uczony wiedział, że jego książka wyjdzie z czyjejs tam subwencją, a że laik jej nie przeczyta”. W imię holdowania przestarzałej zasadzie: sztuka dla sztuki, dla garstki wtajemniczonych, nie dla laików, nie dla mas! „Nie ogadając się na laika pisał zbyt często nieczytelnie... nikt wyrobony fachowo nie próbował pisać dzieł lżejszych nie obciążonych przypisaniami, a przeciwnie naukowo rzetelnych. Pozostawiono tę dziedzinę Wasylewskiemu, Boytowi i Zbyszewskiemu, z wielką szkodą dla kultury historycznej w kraju” („Tygodnik Powszechny”, nr 117).

Alóż panie profesorze! Czy nie przyjdzie panu na myśl, że wymienieni literaci — z wyłączeniem ostatniego a dodatkiem Chołoniewskiego czy Świętochowskiego — uczynili dla kultury historycznej w kraju, TEJ UPOWSZECHNIONEJ, znacznie więcej od naukowców, których dzieła subwencjonowane przez instytucje naukowe, butwiały na półkach? W okresie międzywojennym „o wielkich nakładach dzieł naukowych nie było co i marzyć. Zdarzały się wyjątki, ale w zasadzie dobrze było, jeśli z oddanych 500 egzemplarzy rozszła się połowa, reszta butwiała na składzie”.

Butwiały, gdyż nie wytrzymywały próby realnego życia polskiego. Taki był ich los naturalny. Pokrywały się kurzem, bo czytelnik polski — chwała Bogu — odczuwa nieprzewyciężony wstręt do ducha niemieckiego w nauce.*

Zato bynajmniej nie zleżały się w tymże okresie międzywojennym „Szkice historyczne” Ludwika Kubali, wydane nie po raz pierwszy w nakładach znacznie przekraczających 500 egzemplarzy. Nie spłówał Kazimierz Chłędowski, autor niezmiernie zasłużony dla kultury historycznej w Polsce. Nie zestarzał się ogromnie niegdys poczytny Karol Szajnoch, niezrównany autor „Jadwigi i Jagiełły”, dzieła zasłużenie zaczy-

* Blizsze sformułowanie zagadnienia w książce mojej „Sąd wieków nad Niemcami”, zwłaszcza na str. 48-49, gdzie cytowany jest artykuł Stanisława Skowrona: „O polski charakter naszej myśli naukowej”. Książka ukaże się w lipcu br.

Antoni Trepieński

tywanego w minionym okresie okupacji.

Słusznie autor artykułu „Nasza historiografia w okresie międzywojennym” czyni wyjątek dla Józefa Feldmana, nie tylko znawcy epoki saskiej i zagadnień polskoniemieckich, ale i rasowego pisarza, tak przedwcześnie zgasłego, dla Stanisława Zakrzewskiego, po dejmującego najistotniejsze zagadnienia i łączącego naukę historią z wszechstronnością humanizmu, oraz dla Aleksandra Brücknera niestrudzonego autora dziejów kultury polskiej. W ich sukcesach u czytelników kryła się doskonała wskazówka dla dziejopisarzy, nie doceniających zupełnie sprawy formy, a niekiedy i hierarchii tematyki w przemawianiu do czytelników.

Bogiem a prawdą, z większym zajęciem czyta się do dziś kroniki średniowieczne Kadłubka, Miechowity, Długosza i Gwagnina, aniżeli nie jedną współczesną monografię naukową, wydaną przez Akademię Umiejętności. Lwowskie Towarzystwo Naukowe lub Kasę Im. Mianowskiego w pierwszej czy drugiej ćwierci XX wieku.

Oby się na kamieniu rodzili dziejopisowie ze zdolnościami literackimi! Ponieważ stwierdzamy ich niedostatek, więc po latach przypisuje się czasami amatorom-essayistom — i to wcale nie przypadkowo — znaczenie ważnych źródeł historycznych, jak np. wielkiemu gawędziarzowi historycznemu, Dr. Antoniemu J. Gdzie dziś szukać materiałów na których opierali się: historyk Podola i Kijowszczyzny Michał Rolle, historyk Ukrainy Franciszek Rawita-Gawroński i historyk regionalny Wołynia Stanisław Dumina-Karwicki? Wymieniona trójka odraabiała na przełomie XIX i XX wieku za historyków fachowców i specjalistów wielki trud, któremu nie odpowiedziało niestety jałowe dwudziestolecie międzywojenne. Dlatego też „dziś wszyscy żałujemy gorzko, żeśmy nie umieli wyzyskać w czwórnasób ówczesnych możliwości”, tj. dostępu do źródeł historycznych, ofiarowywanego każdemu, kto tylko mógł i miał ochotę do nich się garnąć. Samo zestawienie wymienionej trójki, dość dyletanckiej, z bezrybiem dwudziestolecia, świadczy bardzo niekorzystnie o naszej współczesnej kulturze historycznej.

Przypadające na 20-lecie książki popularno-historyczne jak Tomkiewicza (uczonego historyka!) „Wieżień kardynała” Józefa Kisielewskiego „Ziemia gromadzi prochy, i nawet Piskora”, 7 ekscelencji i jedna dama”, wreszcie ponawiające się wydania Łozińskiego „Prawem i lewem”, etc., wskazują, że zainteresowanie dla tematyki historycznej w społeczeństwie ani na chwilę nie o osłabło. Te zainteresowania muszą być tylko wzmiecane i pogłębiane na zasadach zwykłej psychologii, techniki nauczania — arcyważnej i niezawodnej metodologii! I dziejopisowie, opierający swą działalność na słowie drukowanym, muszą się z prawami powszechnymi piśmiennictwa liczyć.

Śmiać się będą uczeni historycy ze wskazywania im drogi ożywiania dziejopisarstwa i podnoszenia kultury historycznej w kraju przy pomocy „7 ekscelencji i

HISTORIA I

jednej damy. Ale niech się śmieją! Za granicą dawno już powstały „Dzieje cywilizacji na wesoło”, barwne podręczniki historii, archeologii, geografii, fizyki, chemii, biologii, oparte na nowoczesnych zdobyciach — nie wstydzą się ich najznakomitsi uczeni świata. Historiografia ma

możność zdystansowania walorami ekspresji najciekawszych książek z innych dziedzin wiedzy.

Nie ma obawy, by nauka spłycała! Rozpowszechni się i pogłębi! Ujdzie odświeżona przed zbutwieniem i myszy będą z niej miały mniejsze żerowisko.

II. NAUKA HISTORII I KULTURA HISTORYCZNA

Mówi wybitny historyk prof. Adam Skalkowski: „Trzeba zerwać z pretensjami do Napoleona I, oskarżeniem go o niewdzięczność w stosunku do naszego narodu”. Oczywiście, wszelkie rekryminacje natury etycznej nie nie pomagają, są niewczesne i zgola bezprzedmiotowe. Niczego nie łatwo tak skrytykować jak subiektywizm i poczucie niesprawiedliwości narodowej. Dość zestawieć dzisiejsze popolite już zjawiska: rze koma niewdzięczność (?) Brytyjczyków wobec Polaków za ich udział w obronie wyspy brytyjskiej i rozprawach lotniczych z hitlerowskimi szwadronami powietrznymi, następnie opinie egoistycznych Brytyjczyków, którzy mają dosyć kłótliwych Sarmatów i utyskują kolejno na domniemanej „niewdzięczności” polską za gościnę użyzoną im w okresie wojny. To wszystko są wyrazy powierzchownych nastrojów. Jednak nie inaczej, niż przez ocenę podobnych pierwiastków subiektywizmu dochodzi się do pełnego realizmu politycznego. Bo przecież nie będziemy wciąż wpadali w samooskarżenia! Nie będziemy doskakiwali sobie do oczu, ewentualnie ich sobie wydłubowali...

Czy jednak mamy znów ślepo czcić i wielbić Napoleona I, kiedy on sam w „Dictes de Ste Helene”, 10 tomach wyznał, nie przyswojonych dotychczas językowi polskiemu, upoważnia nas do surowej krytyki, na zasadzie tej, że w ogóle nikt nie grzeszy nadmiarem realizmu politycznego. Czyż nie dostał kiedyś... maczugą w głowę, a Polacy nie oberwali razem z cesarzem Francuzów? „Łatwo dowieść że słusznie wzięliśmy nadzieje z wielkim cesarzem”. I do tego wniosku możemy dojść wspólnie po rozważeniu wszystkich argumentów contra. Rumunia, Węgry i Bułgaria wiazały podczas drugiej wojny światowej nieogłędnie swoje nadzieje z osobą Hitlera, z czego wynika dla nich pytanie ołbrzymiej doniosłości: Czy rozważają one obecnie lub w przyszłości rozważać będą dostatecznie, że postępowały niesłusznie? Faktem niezaprzeczanym jest, iż „gdy na wet wziąć pod uwagę ogólną liczbę tych którzy przesunęli się przez legię włoską i naddunajską w dobie napoleońskiej, to pamiętać należy, że nie przenosiła 30 tysięcy, a czterdzieści tysięcy Francuzów w jednym dniu zaległo śnieżne pobojuwisko Pruskiej Hawy”.

Gdybyśmy wszakże nie mieli wyciągać żadnych krytycznych wniosków z historii, wahał się

zmieniać stosunek do niej i rewidować ją, to nie nauczylibyśmy się niczego na teraźniejszość: przyszłość, popełniając wciąż jednakowe błędy polityczne. W samej rzeczy popełniamy je też najminnie a niepotrzebnie, skutkiem niedopisującego zdrowia politycznego.

Jeżeli uznamy, że Księstwo Warszawskie stworzone w r. 1807 w Tyłży lepsze było z amiaszadnego tworupolitycznego pod miarę Polski ówczesnej i że stanowiło realną korzyść polityczną w sojuszu z Napoleonem — nikt i temu nie zaprzeczy. Atoli kiedy powiemy sobie, że Księstwo Warszawskie stanowiło maksimum a l n a zdobycz polityczną w owych czasach i że „wskreszenie Polski w jej historycznych granicach byłoby następstwem zwycięskiej na Moskwę wyprawy”, to odeprzeć łatwo: — Niestety, nie jesteśmy politykami! I Węgry mogą dziś śpiewać na tę samą nutę, po upadku Hitlera. Szkoda jednak, że powierzyły mu swe losy zbyt nieostrożnie, z nadmiernym zaufaniem. Szkoda, jeśli nie dojdą do mądrości po szkodzi!...

W przeciwieństwie do utartego zdania, że naród nasz nie miał wielkich wodzów, stwierdzić należy, że jedynym nieszcześnie tego jest prawda, iż nie wydał wielkich polityków w.

Owszem, Polska wydała wielu wybitnych wodzów wojskowych, nie wyłączając doby napoleońskiej. Bohaterskimi czynami świeży, w dziejach. Trudno jednak nazwać ich kariery szczęśliwymi i ich zwycięstwa bezapelacyjnie błogosławionymi w skutkach trwałych dla Polski. Strategicznie: Krzywousty, Łokietek, Zółkiewski, Chodkiewicz, Czarniecki, Sobieski, Dąbrowski, Sułkowski, Prądyński i Piłsudski — nie umierali bez niepokoju i głębokiej troski politycznej. Ani Batory, ani Traugott... Tragedie polityczne znaczyły szlaki ich czynów wojskowych, tragedie ludzi genialnych... Gdzie podziwiała się owoc ołsniewających zwycięstw polskich, czy naród jako zbiorowość wykorzystywał je politycznie? Obrzymie zasługi spadały na jednostki za przygotowanie i dokonanie czynów, za poświęcenie dla ojczyzny, ale kontynuacja, sens i trwałość ich, godne dziedzictwo i właściwe spadkobierstwo, znajdowały się rychło pod znakiem zapytania...

Mieliśmy zawsze doskonałych żołnierzy i często świetnych wodzów, lecz niestety — rzadko polityków. Łaski, Hozjyski, Dantyszek, Ciołek, Zamojski, Kollataj, Czartoryski i Wielopolski, — to świetne nazwiska, przyświecające tradycjom dyplomacji i polityki, ale ludzie dziwnie osobobni, skazani na osamotnienie, mało popularni i zrośnięci z narodem.

Nie ulega wątpliwości, że brak polityków z szczęśliwą ręką w narodzie polskim wyrzył głębokie piętno na całości dziejów narodu, zarówno na losach powstań i koncepcji mocarstwowych, jak i na losach osobistych pojedynczych obywateli.

Niedostatecznie rozsądne ocenianie przeszłości, bierno usprawnianie jej lub zbyt daleko idące

POLITYKA

potępienie w każdym względzie, wygodne tłumaczenie błędów politycznych czyto obcych czyto własnych, upraszczanie sobie procesów mechanizmów ludzkich, grozi zawsze łatwym przeobrażeniem się błędów w pojęcia onoty. Niedalecy już jesteśmy dzisiaj od tego, aby gigantyczny błąd polityczny powstania warszawskiego przekazać potomności jako zasługę jego wszystkich tajemniczych sprawców, politycznych aranżerów, szarych eminencji, tak niefortunnych... Dlaczego? bo powstanie było niezaprzeczenie wspaniałą epopeją wojskową, bohaterstwo powstańców nie miało sobie równego w drugiej wojnie światowej. Tak jest! Ale jedno trzeba odróżnić od drugiego, mianowicie stronę polityczną od strony czysto wojskowej i czysto emocjonalnej nadzwyczajnych bohaterskich wyczynów. Ta pierwsza jest donioślejsza, bardziej obciążona odpowiedzialnością, o wiele trudniejsza ale i nieraz postokroć ważniejsza! Wy myka się ona od odpowiedzialności po klęskach, nie lubi przyznawać się do porażek, zrzuca tę odpowiedzialność na siebie, nie rozumiejąc po męsku swej dziejowej roli. Nie chce bowiem nigdy opuszczać widowni przed ostatnią próbą szczęścia. Wchodzi tu w grę więcej nieuchwytnych elementów psychologicznych i rozumowych, logiki, subiektywizmu, trudności, „niuansów”, „aspektów” oraz momentów nieprzewidywanych. Garnąć się do polityki bez kwalifikacji cisnąć się na arenę rozgrywek politycznych bez pojęcia o grze — to często lekkomyślność znacznie gorsza w skutkach, niż szarża z pikietą ułańską na czołgi, niż strzelanie z pistoletu do samolotu. Zażegnywanie groźby niebezpieczeństwa ze strony groźnego przeciwnika widmem postrachu na wróble; to występowanie wobec mocnego partnera — w charakterze liżusa i powolnego sługi, redukcja się dobrowolnie do roli podmiotu i narzędzia w rękach obcych.

Kłeski polityczne bywają o wiele cięższe od klęsk na placu boju. Te ostatnie przysposabia się czasami na towarzyskich polowaniach w puszczy Białowiejskiej, zapobiega się im także nieraz przy zielonych stolikach, na spotkaniach w różnych kulturalnych, i to bez rozlewu krwi.

Wartoby wyryć w umyśle każdego Polaka: Uczmy się sztuki prowadzenia polityki!

— Jak?

— Przez znajomość historii własnego kraju, dyskusje historyczne — polityczne, publicystykę... Publicystyka, dorastająca do najwyższego poziomu, sprawuje funkcję kontroli życiowej nad nauką historyczną. Nie wolno postępować publicystyki jak to u nas się dzieje: Uczeń z racji swoich wtajemniczeń w metody archiwalne traktują publicystów z wyniosłością jako niepoprawnych rękawów, za co znów publicysty błądząć impertynencje pod adresem uczonych, jako o archiwalistach, martwych duszach, eremitach, pędzących kunsztowne życie pustelnicze wśród rozgwaru wielkomińskiego w XX wieku. Słowa szydercze „Niech na całym świecie wojna, byle polska wieś spokojna” zastosować można i do klimatu w naszych ci-

chych, zasnutych pajęczynami pracowniach naukowych, w których nie tylko nie uznaje się zdobywczy innych dziedzin nauki, z techniką na czele (m. in. odkurzaczy), ale nie toleruje się chętnie obcych przybyszów, współpracowników przy sąsiednich pulpitych, życzliwych świadków pracy.

Wydana niedawno (pod impertynenckim tytułem) książka Aleksandra Bocheńskiego jest bardzo charakterystyczna pod względem stosunku zawołanego publicysty wobec nauki. Zatraca się ta oczigodna nauka już niemal całkowicie w swej metodyce i metodologii, toteż przyda się na nią ogromnie pewnego rodzaju „młot na czarowników”, dyskwalifikujący część naszej historiografii w słowach ostrych, niepowściągliwych, z miarą identycznie surową, jakiej używa normalnie naukowiec do dyskwalifikowania publicystyki za „nienaukowe” podejście do zagadnień. Autor nie zastosowuje żadnej innej metodyki poza zwyczajnym życiem. Zawodowi historycy orzekną prawdopodobnie z wyniosłością, że książka nie warto się zajmować, bo jedna kowo poważnie traktuje „metody stów”, jaki publicystów niedouczonych na miarę samego przemądrego Bocheńskiego, trzeba jednak uznać rzecz za niezmiernie pożyteczną dla sprawy ożywienia naszego ruchu historycznego.

„Prawdziwy i postępowy badacz historii ma zawsze na uwadze przykazanie, ujęte w słowach Stanisława Zakrzewskiego, wypowiedzianych na V powszechnym zjeździe historyków polskich w r. 1930:

„My historycy wiemy dobrze i dumni z tego jesteśmy, że „historia est magistra vitae”, ale równocześnie my, historycy, wiemy że obowiązuje zasada druga — odwrotna: „vita est magistra historiae”. Kto śledzi rozwój nauki historycznej od wczesnych jej początków, kto wie jaką podwaliną nauki historycznej od wczesnych jej początków jest żywy działacz polityczny Tucydydes, kto wie czym w nauce historycznej jest polityk i wielki wojownik Cezar, ten doskonale zrozumie, że historia jest mistrzynią życia, ale i naodwrot — życie jest wielkim mistrzem historii.

„Każde pokolenie ma swój własny stosunek do zagadnień, swoje zasadnicze zainteresowania naukowe, narzucające przez współczesną rzeczywistość życia, swój własny sposób patrzenia. Każde mu pokoleniu rzeczywistość współczesna narzuca inną stosunek do przeszłości i podlega podstawy do odmiennej syntezy”.

„Jednego tylko żąda od nas, nauczycieli swoich, naród polski: prawdy, choćby najbardziej gorzkiej, najbardziej brutalnej, lecz prawdy szczerzej, bez osłonek i bez tłumaczenia, prawdy „prawdziwej”.

„Bo tylko w znajomości surowej rzeczywistości, takiej, jaka istnieje, i rzeczywistości takiej, jaka istniała, obywatel wielkiego wolnego narodu może wychować siebie na twórcę swadomego losu swego, losu narodu i państwa”.

III. O ODDZIAŁYWANIE PUBLICYSTYKI

Drugi wybitny historyk, w związku z publikacją „Od San Do

mingo do Cassino” czyni uwagę w rozmowie:

— Nazywa pan tam Kościuszkę tegim realista. To ja! Nasza wielkość narodowa — przy swych uzdolnieniach wojskowych, płomiennym patriotyzmie i niezwykłym, szlachetnym charakterze — odznaczała się cechami wprost zgubnymi dla urzeczywistnienia realności koncepcji politycznych. Do nich należała szkodziwa bezkompromisowość, jednakowa na polu walki zbrojnej z tróizaborcami, jak i w stosunkach politycznych z Napoleonem na czele. Do właściwych cech polityka winna należeć, jak wiadomo, giętkość i układość, zaś bynajmniej nie krańcowo nieustępliwość albo miękkość. Konieczne jest posiadanie trudnej sztuki prowadzenia sporów wygrywania w kompromisach; ważniejsze od imponderabiliów są umiejętności ich przekucia na narzędzia polityczne.

— Trafia mi to w zupełności do przekonania, panie profesorze. Dla czego jednak nauka nie daje w tym przypadku prawdom?

— Owszem, wykazuje je i potwierdza. Pozostaje jedynie kwestia opierania się na rezultatach nauki.

— Czyżby mistrzowie żywili poważne złudzenia co do tego, że polityk ma czas na studiowanie monografii historycznych, wyposażonych w ciężką aparaturę naukową, inedita z tasiecmami przypisów etc.?

— Nauka nie jest od tego, żeby szła w las!

— Święte słowa! Nauka jednak nie ma dostatecznego wpływu na życie. Doceniam w pełni metodologię w nauce historycznej, tj. przygotowania naukowe do badań i opierania się na źródłach, wszystko co składa się na kompetencje do udziału w historiografii; na równi ze znaczeniem wykształcenia ekonomicznego dla ekonomisty. Gdyby jednak dziedzina ekonomii nie stała otworem praktycznie dla każdego bankowca, finansisty, przemysłowca, samorządowca, kupca, to naprawdę nie mielibyśmy racji bytu i teoretycy, znawcy praw życia gospodarczego. Dla kogoż pracować mają historycy, jak nie na użytek działaczy politycznych, wychowawców, myślicieli wszelkiego autorytetu, obywateli świadomych należeń do narodu?

Historiozofia nie płynie z czynów ludzi nauki, ale w znacznie większej mierze z czynów nieuków. I nie jest tak wcale w życiu, że każdy genialny hetman i wybitny polityk lub dygnitarz posiada odpowiednio przygotowanie historyczne, czy naukowe — Lelwelowi wszakże wykształcenie historyczne nie pomogło w karierze politycznej. Szyderczy paradosks mieści się w tym, że to właśnie nieuczony Adolf Hitler robi historię, a nauka historyczna, magistra vitae! — podchodzi do niego z metodyką archiwalną! Ogłasza m. in. teksty wydanych przezeń rozkazów spalenia, archiwów, poprzędzone i zakończone szczegółowymi studiami nad obrazami epoki. Po upływie pewnego okresu historycznego wyrzyna się znów do

rządzenia państwem nowy nieuk i osadza niestrudzonych badaczy w obozie koncentracyjnym, kiedy mu się to spodoba. Gdzież tu „magistra vitae”? Kiedy nieuczony kroczą swoją drogą, razem z nimi płynie życie, a naukowcy zajmują miejsce obok muru życiowego, pracują dla siebie, dla specjalistów „dla garstki wtajemniczonych... Czy ideałem społecznym nie ma być dążenie do tego, by każdy ambasador, poseł, minister, prezydent, wojewoda, generał, starosta, słowem odpowiedzialny przedstawiciel społeczeństwa miał teoretyczne przygotowanie historiozoficzne? Sądzę stanowczo, że tak! A czy to jest w życiu możliwe, łatwo sobie każdy odpowie.

— Myśli pan o praktycznym wiązaniu nauki z życiem?

— Tak. Jestem najgorętszym wielbicielem nauki historii na drodze jej upowszechnienia, udostępniania, dyskusowania jej problemów w formie atrakcyjnej, pociągającej, popularnej, przy niezbędnym udziale pragmatystów — owszem, ale i najszerszych rzesz obywateli. Jest to konieczność państwowa, obowiązek obywatelski, mus dziejowy. Jak zmierzać do celu, o tym należałoby rozprawić oddzielnie.

— Nie jest obowiązkiem sumiennego wydawcy tekstów źródłowych, jak i autora monografii o Kościuszcze, pisanie popularne, co o naczelniku myśli. Wystarczy, jak podzieli się nowymi tezami z kolegami na zjeździe. Ekonomista nie rozprawia przecież o problemie inflacji z konduktorem tramwajowym, bo mu to nie przyniesie.

— Słucham dalej pana profesora...

— Co dalej?

— Uczony nie ma czasu ani ochoty, niech ci będzie i daru pisańskiego, na wszczynanie polemik i dysput na szerszym forum publicznym, na walkę z opinią — z różnymi pismakami, dyktantami, wyznawcami fałszywych tez historycznych. Nie kwapi się narażać swój autorytet naukowy, powołany przede wszystkim do pilnowania katedry, zajmowania się adeptami nauki, rzeczami pierwszorzędnej doniosłości, jak ustalaniem i opracowywaniem tekstów źródłowych... Skalkowski i Górka dali niegdys posmak tego na co naraża się odważny dziejopis, wdając się w śmiałe formułowanie nowych tez, wymagających jeszcze dyskusji. Obalenie mitów, to dla historyków rola nie wdzięczna, kto wie, czy nie bezcelowa. Mity mają znaczenie wychowawcze, hipotezy naukowe, ani młódka naukowa ich nie zastąpią. Ograniczanie się do „czynności pragmatycznych” przysparza dosyć roboty, wiąże się z nimi mnóstwo zadań leżących odległym... Czy zresztą kiedykolwiek historycy bronili komu zabierania głosu w sprawach politycznych? Co innego jest dyskusowanie o sprawach czysto naukowych przez profanów, a co innego...

— Każdy bez wyjątku, interesujący się sprawami nauki i mający o nich coś ciekawego do powiedzenia, winien zabierać głos...

— Pop swoje i baba swoje!

— Właśnie. Do formułowania tez, zasługujących na dyskusję, przyjmowania wyników nauki, powołani są przecież nie tylko wolnomurarze. Zjazdy wtajemniczonych (scholastyków) odbywają się raz na 10 lat... Na coddzień musi działać publicystyka!

— Niech korzysta ze stawy jaką podajemy.

— Więc potrzebujecie pośredników? Publicystyka musi zatem spełniać funkcję pośrednictwa między życiem i nauką?

— Historyk zawodowy tylko od czasu do czasu może sobie pozwolić na przemówienie publiczne lub artykuł dla wszystkich. Badania historyczne mogą wyznaczać drogi wychowawcom narodu, ale wychowywać uczeni sami nie umieją. Oto między innymi zadanie odpowiedzialnej publicystyki.

— Publicystyka zatem jest od tego, by spełniała funkcję pośrednictwa między życiem i nauką. Nauka historyczna może sprawować kontrolę nad publicystyką — bardzo pożądaną, ale i publicystyka musi sprawować kontrolę życiową nad nauką.

— W sposób odpowiedzialny, powtarzam.

— Nawzajem. Wierzmy, że się poziom publicystyki u nas podnie sie. Dojrzała publicystyka musi spełniać funkcję opiniodawczą na coddzień! Rozumie się, że badania historyczne wyznaczają drogi myśli politycznej, jednak bez kontroli życiowej nauka się nie obejdzie. Bez wielkiego zjazdu możemy dojść do wspólnych wniosków.

— Może pan ma i słusność.

— Wspólny wniosek jest ten: przed publicystyką leżą wielkie zadania, nie spełnienia ona u nas należytej roli. Nie spełniła swej roli w historiografii 20-lecia, nie stojąc na poziomie epoki rozbioru woj. Nie osiągnęła poziomu myśli politycznej Wielkiej Emigracji, ani Szkoły Krakowskiej, kiedy kwitła wspaniale, wykuwając myśl polityczną narodu łącznie ze zrebami historiografii.

— Niechaj publicystyka działa między uczonością i nieuctwem, świadomą polityką i beznamiętnością, niech godzi optymizm i pesymizm w historiografii, czynnik obiektywne i subiektywne, których bądź co bądź nie sposób wyłączać z historii życia... Musimy na gwałt kształcić się politycznie. Niedostatki w społeczeństwie są pod tym względem straszliwe i nadają katastrofalne piętno dziejowemu chwilom.

— Jest to nasza pięta achillesowa... dziejów państwowości polskiej, całych niemal czasów nowożytnych...

— Więc poświęćmy więcej uwagi naszej achillesowej pięcie! Zdawajmy sobie z niej nareszcie doskonale sprawę. Wówczas nastąpi i zapłodnienie i rozwój naszej historiografii. Wtedy też będziemy narodem mniej nieszczęśliwym, mniej narażonym na katastrofizm, wreszcie politycznie dojrzałym... bez pretensji do całego świata, który ma się stale litować nad nami.

— Trochę za dużo frazeologii ukrywa się, mój panie, pod nazwą „życiowej kontroli”... Wracajmy my do swojej pracy!

— Czy szanowny pan profesor pracuje nocami?

— Przyzwyczaiłem się. Siedzę po nocach. Potem zawsze spóźniam się na wykład.

— A ja wstaję wczesnym rankiem.

— I od świtu, ledwie kur zapieje, zajmuję się pan polityką?

— Tak, kiedy pan profesor w najlepsze śpi...

Antoni Tredziński

Janusz Kawecki

TEATRY WARSZAWSKIE

OBRAZ Z LAT 1789-1939

PAWEŁOWI OWERLLE

POŚWIĘCA

JEAN KAWECKI

Schyłek, a ściślej ostatnie dwudziestopięćdziesiąt lat XVIII, jest zwrotnym okresem w dziejach teatru w Polsce, przynosi bowiem nie tylko nagły i piękny rozwój rodzimego dramaturgii i komedii, lecz przede wszystkim unaradawia, upowszechnia, uspołecznia samą instytucję, uwalniając ją od sobowajostwa inicjatywy prywatnej, uświęcając ją, przywilejem. Równocześnie co najcharakterystyczniejsze, bynajmniej nie ulega zaprzepaszczeniu ta tradycja, która sięga u nas narodzin teatru nowożytnego w pamiętnym Feście Jazdowskim, gdzie każdy wiersz „Odpawy posłów greckich” Jana z Czarnolasu tchnął wielką myślą wychowawczą, pieczętował się troską o polską rację stanu wołał o jednolitość obywatelską i siłę. Rewolucyjne przemiany w życiu narodowym doby stanisławowskiej, sprzyjały ogromnie pojęciu i kontynuowaniu tej tradycji w formach o wiele bujniejszych i doskonalszych. O nią mocno oparty wszedł teatr w Polsce na miejsce należne, ażeby uczyć i kształcić, budzić sumienia i wpływać na obyczaje współczesnych, ciągle nowe wartości kulturalne, w ciemną zaś noc niewoli ostrzec słonecznego skarbu języka i uchronić nieskalanie czystą postać naszej wrażliwości artystycznej. Pierwszy też wywróży — zmartwychwstanie.

Najchmurniejszym i najgłówniejszym okresem służby swojej narodowi teatr polski na zawsze związał się z Warszawą.

CZASY PRYWILEJU

Zanim „ojciec sceny polskiej” opatrznościowy Bogusławski zaczął w Warszawie swą owocną działalność aktorską, dyrektorską i pisarską, teatr byłował sobie dość niewesoło: nie miał nawet stałego lokum! Od przypadku do przypadku, według humoru i zachcianki zmiennego przedsiębiorcy wędrował po stolicy tędy, gdzie, cierpieliwie wlokąc niszczące lary i penaty. Król - mecenas, Stanisław August, traktował teatr serio, trzymał się co do niego określonych projektów i planów, pochłonięty jednak sprawami natury o ileż donioślejszej, nie od razu mógł zamiary przyoblec w ciało. Najpierw spolszczył trupę aktorską, która za Sasa składała się wszak z cudzoziemców. Na otwarcie teatru w starym budynku przy ulicy Królewskiej (19.XI. 1765) dał sztukę ledwie że nie swojską. „Natrętów” Bielawskiego. W r. 1773 budynek rozebrano; ściany się zarysowały, groził runięciem. JM. Montben, kierownik trupy, skoczył jak w dym, do Księcia Panie Kochanku. Istotnie popularny niedźwiedz litewski ofiarował Montbenowi gościnę, w dzisiejszym gmachu Prezydium Rady Ministrów, ówczesnie pałacu radziwiłłowskiemu. Niestety łaska pańska na pstrym koniu jeździ: rychło go stamtąd wysiadał. Wciągu 48 godzin musieli nieboracy „aktorowie Jego Królewskiej Mości Komedijów polskich” przetelepać się na Nowy Sułków (dziś część Nowego Świata) pod opiekę Księcia Adama Sułkowskiego. Te „książęce” lata zabaw w komórki do wynajęcia skończyły się, Bogu dzięki, w r. 1779. Filut i znany, powiedzielibyśmy obecnie, kombinator warszawski, pan Franciszek Ryks, posunawszy się z kamerdynera na starostę, wykołatał przywilej dla siebie i — nie bez porządnego skubnięcia — na ten cel Króla Stasia — ob-

dował teatr na Placu Krasińskich. Po Ryksie, po Bizestim objął przedsiębiorstwo cudak i birbant, Marcin Lubomirski, po Lubomirskim na kilka miesięcy Bogusławski. Przy Bogusławskim budę zamknięto na cztery spusty. Mimo takich perypetyj, no i plajt i bankructw, które szły łańcuszkiem, o dziwo, teatr się dźwigał. W warunkach, zdawałoby się żałosnych, zabójczych rozwijał się zupełnie normalnie. Autorzy pisali chętnie, aktorzy klepali bide, prawda, ale grali z zapałem.

W r. 1789 pęka fatalny przywilej. Teatr dostaje się w ręce Bogusławskiego.

BOGUSŁAWSKI

Jeśli się utarło słusznie pochlebne mniemanie o zmyśle organizacyjnym, skretności, pracowitości i żelaznym uporze Wielkopolan, to urodzony Wojciech Romuald Bogusławski najlepiej chyba dowiódł, że wpływ niemieckiego, zaborcy nie odgrywa tutaj żadnej roli. Owszem, są to najwidoczniej znamiona rasowe ludzi z Wielkopolski, właściwe im od prawnika. Chudopacholek z Glinna, mizerny chowaniec Collegium Nobilium, popychle biskupa Sołtyka, paż, gwardzista, który zrozpaczony zawodem w karierze wojskowej ucieka do teatru i jako osiemnastoletni żółtodziób przyrasta doń ciałem i duszą, rozkochoje się w nim na umór, oddaje katorżę aktorskiej talent i siły po kres życia, okresami przebiega Polskę wszerz i wzdłuż, grywa, pisze tłumaczy i po wieloletnim dyrektorowaniu w Warszawie płaci do śmierci dyrektorskie długi, nie, ani czort ani inny warszawiak — by nie dał rady.

Kiedy w r. 1814, skołatany i zgorzkniały, przekazywał dyrekcję warszawskiego teatru zięciowi, Ludwиковi Osiniemu, posiadał w pionierskim dorobku pozycję wprost przykładową. On zdobył publiczność i przyzwyczaił do teatru. On złamał haniebne uprzedzenie do aktorów. On ogromnie pomnożył ich liczbę, rekrutował entuzjastów, wyhodował, wyhołubił młode talenty, tworząc szkołę, która się szczyli takimi, jak Dmowski, Halperowa, Kudlicz, Ledóchowska, Piasecki, Werowski i Żółkowski — ojciec. Podniecał starych, zyskał teatrowi nowych pisarzy. Obok Franciszka Bohomolca, Franciszka Karpińskiego, Franciszka Zabłockiego, Jana Drozdowskiego, Józefa Wybickiego i płomiennego autora „Powrotu posła”, Juliana Ursyna Niemcewicza wprowadził na scenę tematykę społeczną i polityczną, ale i wypromował ją na przewodniczkę. A że wczuwał się żarliwie w namiętności i niepokoje chwili dziejowej, że umiał chwycić aktualność we wrzuszający, pulsujący krwią wyraz sceniczny, przyswiadcza „Krakowiaci i Górale”, to warszawskie „Wesele Figara”:

Gdzie się w niewoli żyje,
Niemas tam swej lubości,
Pies na powrozie wyje,
Każdy pragnie wolności.
Niemiec, Seume, który widział
Sztukę Bogusławskiego w Warszawie,
notuje na rok 1794:

Aluzje polityczne były w sztuce dość odległe, ale była w tym sprawa narodowości. Niektórzy z wybitniejszych aktorów należeli bezwzględnie do tajnego porozumienia, albowiem odrazu śpiewali warjanty do melodji (kuplety) które wyparły niehawcem tekst istotny i były powtarzane wśród ogólnego uniesienia publiczności. Te kuplety przestały się rychło między lud, a

zdarzenia krakowskiej) przedzierzgnęły wszystkich warszawian w śpiewaków operowych. Nawet rosyjska opera wojskowa grywała ulubione arie z tej popularnej opery. Gdy się dowiedział o niej generał rosyjski, nakazał odwołać przedstawienie sztuki, ale wystawiona trzykrotnie zrobiła swoje.

Napisał Bogusławski 80 (osiemdziesiąt) sztuk, głównie adaptacji i tłumaczeń. Wciągnął do repertuaru znakomitych zagranicznych, Moliera, Beaumarchais, Diderot, Lessinga, Kotzebne, Sheridan, Szekspira²⁾ i Alfieri. W wypadkach poza Warszawę zakładał ogniska teatralne w Białymstoku, Lubnie, Gdańsku, Grodnie, Lwowie, Poznaniu, Wilnie.

Co za horyzonty otwarł ten jeden człowiek przed polską sztuką teatralną!

MARYWIL

Wobec kolosalnego rozwoju sceny warszawskiej przy Bogusławskim, który nie zaszkożył prywatne, spod znaku Księcia Józefa, imprezy pani z Poniatowskich Tyszkiewiczowej i głośnej „Wobanki”, skłębony na łap-casny, ciasny i djabło niewygodny — bez pomieszczeń dla garderob — teatr na Placu Krasińskich okazał się niepraktyczny. Nasunęła się nieodzwonnie potrzeba gmachu odpowiedniejszego na zab czas, o widowni obszerniejszej, scenie wielokroć sporszej, któraby pozwoliła na wystawę sztuk i oper, żądających rozleglejszej perspektywy i wspanialszej oprawy.

Zamówiono przeto plany u florentczyka, rzutkiego i zamiłowanego w empirycznym klasycyzmie architekta Antonia Corazzii i wybudowano na dawnym terenie Marywili gmach potężny, frontem we front młodzieńcemu Ratuszowi, niesmacznie poprawionemu przez Lessla. Zrozumiałe, że budowa nie szła, jak z płatka. Chociaż zgrzybliwy książę - namiestnik, generał Józef Zajaczek, położył kamień węgielny już w r. 1823 budowie nie można było dać rozmachu i ślimaczyła się, ponieważ brakło pieniędzy. Następnie listopad, „dla Polaków niebezpieczna pora” — powstanie w 1830 r. Następnie paskudne machinacje zdrajcy, generała Rautenstraucha. Ot, do ła mu strzeliło, by, zamiast teatrem obdarzyć Warszawę cerkwią, któraby kosztowała taniej. Na szczęście, wstręty generalne spaliły na panewce. Lecz w jednym przecie mu ustąpiono: projekt skurczono. Obniżono i zwężono widownię na rzecz kulis, czym zredukowała się do tysiąca miejsc. Z projektowanych trzech tysięcy.

24-go lutego 1833-go, w sierdysie zimna, srebrną niedzielę, otwarto na koniec „podwoje nowej świątyni sztuki”. Na afiszu figurował „Cyrulik sewilski” Joachima Rossini.

Sto trzydzieści lat temu. Mój Boże! Kompleks teatralny na Marywilu należał — i należeć będzie — do najestetyczniejszych akcentów architektonicznych wiekowej Warszawy. Te wyniosłe trzy kondygnacje ciosowych kolumn i fronton w rzeźbach, które wykuł profesor Maliński i d'Acciardi; te wykintne i zaciszne kolumnady boczne; te miłe długie rzędy okien w obu skrzydłach; te wewnątrz „Rozmaitości” osnute dziś legendą; te sale reed u krużgankach z zamkowej Sali Sejmowej — wszystko się skupia w obraz bliski i drogi, rzewnie pamiętliwy. Żyli się z nim i nim żyły po-

1) Ogłoszenie Insurrekcyj. Bitwa pod Racławicami.
2) Hamlet.

kolonia. Kojarzył wierzchnią swoją krąsę z treścią najistotniejszą, z muzyką, z czarem słowa, które, jak rosa niebieska, opłókiwało dusze z brudu niewoli, ze wstrząsem, który dawał moc trwania i wiarę. Tam w Teatrze Wielkim i w „Rozmaitościach”, warszawiak i nie warszawiak, słuchał Stanisława Moniuszki³⁾, cieszył się zamaszystemu Fredrze i mądrymu Korzeniowskiemu. J. S. — za tymi literami krył się Juliusz Słowacki, gdyż cenzura moskiewska zabroniła drukować nazwisko w całości — wywoływał przed oczy minioną, a nieśmiertelną świetność Polski. Śpiewaczki i śpiewacy: Rivoli i Dowiałkowska, Dobrski, Myszyga, Mierzwiński, aktorki i aktorzy: Bakałowiczowa, Rakiewiczowa, Modrzejewska, Królikowski, Tanczykowski, Rychter, Żółkowski — syn, złota plejada o wielkich i sławnych imionach napawała warszawiaka dumą i kazała się uwielbiać.

TROCHĘ O PREZESACH

Kierownictwo teatrów warszawskich lub, jak to brzmiało w tamtych czasach, teatrów rządowych piastowali prezesi za wyjątkiem senatora Gudowskiego i Hulewicza, moskale, wspierani czujnie przez cenzurę i nadzorowani przez generałów-gubernatorów. Poczet ich rozpoczął osławiony Rautenstrauch, był jednym z nich niemniej osławiony Sergiusz Muchanow. Po Powstaniu Styczniowym cenzura i „opieka” gubernatorska dojmująco zacieżyła teatrom. Repertuar polski trzebiono, karano ostro aktorów za najmniejszą manifestację patriotyzmu. Naprzykład, gdy tenor Dobrski zaśpiewał u O.O. Reformatorów Hymn Stradelli na Mszy św. za Pięciu Poległych, gubernator dziki Książ Czerkasskij rozegnał zespół opery na cztery wiatry i skasował przywilej, który zwalniał artystów od służby w wojsku. Skreślił im również prawo do zabezpieczenia na starość. Jeszcze w trzydziści lat później dzielny Chodakowski, po Koziaradkim i Matuszewskim trzeci z najwybitniejszych reżyserów operowych, o mało nie poszedł „w Kamasze” za to, że ubrał w polski mundur ułański Kazimierza w „Hrabinie” Moniuszki. Na widok polskiego ułana publiczność wpadła w istny szał; zerwała się z krzesel i biła okłaski aż dłonie pucały. Cóż stało się. Nagabywany przez cenzurę, prezes Iwanów, ekscypjonalnie zacy skądinąd moskalszka, zawyrokował po salonowemu: mandur niech, ale czako zdjąć i wetknąć Kazimierzowi pod pachę. Nie pomogło i to „pod pachę”. Warszawiacy nadal tak szaleli w teatrze, że, póki grano „Hrabinie”, okolice Marywili obsadzali co wieczór żandarmi. Ze strachu przed rewolucją.

Okres senatora Longina Gudowskiego, który objął prezesurę po Muchanowie i Wsiewołodskim, założycielu teatrów „Nowego” w Alkazarze na Królewskiej i „Małego” w przebudowanej bóżnicy, na Daniłłowiczowskiej, zapisał się dodatnio w dziejach sceny warszawskiej. Najprzód, Gudowski ocalił ją od krachu, do którego doprowadził rozrzućnik i rozpusznic Wsiewołodskij. Dalej uporządkowawszy wydatki, do czego użył środków heroicznych, twardo przytrzymał się takiej polityki repertuarowej, która zwiększała dochody. Niemowny, surowy, moralny, sobiście zamożny miernie bezinteres-

sowny był do tego stopnia, że się zrzekł pensji, a hojny, bo po pożarze „Rozmaitości” w r. 1883 dopożyzył się na hipotekę swą w Warszawie kamienicy i odnowił teatr z własnej kieszeni. Pobłażliwy dla Żółkowskiego, którego geniusz respektował, reszcie aktorów nie pobłażał, gwał ich do pracy. Nierobów i bimabajłów wylewał stante pede. Rzadkich uzdolnień administracyjnych, potrafił się jednakowoż przed sobą przyznać do dyletanctwa w rzeczach sztuki i skwa pliwie radził się zaufanych, gorliwie uczył teatru od fachowców. Przez siedem lat prezesury, gabinet senatora przeistoczył się systematycznie w kuźnię najwszechstronniejszej i najpożyteczniejszej działalności. Chlubne w niej miejsce zajmuje „odwłoszenie” opery. Tak 23.VI. 1882, usłyszeli warszawiacy w Teatrze Letnim „Carmen „Bizet’a, wykonaną wyłącznie polskimi siłami, z ognistą czaruną Heleną Herman w partii tytułowej. Dowiakowską - Mikaelą. Więc przewrót. Pobudkę dał mruk senator.

Za Gudowskiego błyszczyli w zespołach opery: fenomenalny Filleborn i Cieślowski, w dramacie i komedii Alojzy Żółkowski — syn, Królikowski, Bolesław Leszczyński, Ładnowski, Ostrowski, Prażmowski, Wincenty Rapacki — ojciec, Rychter, Jan Tatariewicz, Anastazy Trapszo, Turczynowicz, Wojski, Szymanowski, Derzynianka, Czaki, Lüde, z Rapackich Leszczyńska, Marcello, Rakiewiczowa i Wisnowska. Reżyseria i kierownictwo literackie spoczywało w rękach jednostek wybitnych. Repertuar obfitował w pozycje wzorowe. Na gościnne występy zjeżdżali do Warszawy: Mieczysław Frenklel, Modrzejewska, Sara Bernhardt, Tomasz Savini, Coquelin, Adelina Patti i Meiningerzy.

Zamąciły okres senatorski tarcia z prasą i żałoba: w r. 1889 umarł Jan Królikowski.

W r. 1889 senator poprosił, o dymisję. W tymże roku 30.XI. o 8-jej wieczór umarł Alojzy Żółkowski geniusz polskości na scenie. Stratę opłakano jako niepowetowaną. Byli tacy, którzy podpisali petycję do władz, żeby odład zamknęły teatr „Rozmaitości” na amen.

Wszelako generał Dymitr Palicyn, prezes po Gudowskim, wezwał ze Lwowa i zaangażował Frenklela, poprzedzonego famą gościnnego występu w „Rozmaitościach”.

Żółkowski miał spadkobiercę.

PRZED WIELKĄ WOJNĄ I PO NIEJ

Półsta lat, przepołowione „miedzą zieloną — zieloną, barwa nadziei — wybuchu pierwszej wojny światowej, we krwi, w ogniu i — — — drugiej. „Que des souvenirs! Que des regrets!”

Zmieniał się kolejno prezesi od Karandziejewa do Matyszewa i pułkownika Burmana, zmieniali reżyserzy, kierownicy literaccy, malarze dekoratorzy, dyrygenci i baletmistrzowie, rośli, uczyli się w warszawskich szkołach aplikacyjnych i u starych sław aktorskich nowe pokolenia, przepływała coraz bogaciej przez repertuar twórczość swoja i obca. „Rozmaitości” doścignęły szczytu, zdobyły rozgłos w całej Europie. Publiczność tłumnie zapełniała teatry na dramatach i komediach, operach i operetkach; chodziła też na wszelkie widowiska wiosenne do ogródków, gdzie panowała lżejsza muza. Co pewien czas powstawały teatry prywatne konkurujące czy raczej zamierzające konkurować z „rządowymi”. I tak przeddzień pierwszej wojny światowej, powstał na Oboźnej ufundowany przez grono obywateli z Tomaszem

3) Premiera: „Halki” — 1.I. 1858, „Hrabiny” — 7.IV. 1860, „Verbunobile” — 1.I. 1861, „Strasznego dworu” — 8.IX. 1865.

Pofockim na czele, Teatr im. Słowackiego, obecnie Państwowy Teatr Polski. Tych, którzy po inauguracji działalności teatru p. Szymaniana premierze „Irydiona” (29.I. 1913) spodziewali się nadzwyczajności, czekało gorzkie rozczarowanie. Wybór kierownika teatru okazał się niefortunny.

Ale podobnie gorzkie czekało rozczarowanie i tych, którzy spodziewali się nadzwyczajnego rozkwitu teatrów warszawskich z odzyskaniem niepodległości. Gdy 2.X. 1919 spłonęły doszczętnie „Rozmaitości”, było w tym, zaiste, coś złowróżbnego.

Ustąpiły pola teatrowi Narodowemu, który otwarto 6.X. 1924.

Jak drzewo w opuszczonej sadzie teatry zaczęły usychać, marnieć życie teatralne Warszawy.

Stanisław Podlewski

W przeddzień drugiej wojny światowej Towarzystwo Krzewienia Kultury Teatralnej przypieczętowało tylko upadek. Pomimo to rzeczywistość nie wyglądała tragicznie: wyglądała osobliwie. Byli w prasie pióra i krytycy nie ciemniejsi od Władysława Bogusławskiego, Adama Dobrowolskiego, „Kazia” Zalewskiego, Ehrenberga, Rabskiego, lecz coś ich obezwładniło, odrętwiło. Byli autorzy, lecz coś zepchnęło ich w uszczelnione dziennikarstwo. Byli doświadczeni kierownicy, Osterwa z „Reduty” i Jaracz, Schiller i Ludwik Solński, lecz coś uwięziło ich w załkach chorobliwych koncepcji, albo jak Solskiego, rutyny. Po tych co gaśli na naszych oczach, po Nowickim, Wojdałowiczu, Kamińskim, Rapackim — ojcu „Leszczu”, Rolandzie i Frenku, nosicielach

zwycięskiej tradycji, przyszli i byli niezmiernie talenty, Józef Węgrzyn, Jerzy Leszczyński, Kazimierz Junosza Sępcowski, Maria Przybyko Potocka, lecz coś rozproszkowały ich wysiłki, odejmowało — ducha.

Zdawałoby się, znikąd ratunku. W zepszałej psychosferze teatralnej bałamuciła się samopas miódzież aktorska, niezdolna dylematu: zawód czy powołanie rozstrzygnąć na korzyść powołania i objęła się bez ambicji, bez celu jasnego i wielkiego w przyszłości.

TAMCI WIDZIELI POLSKĘ!

Gdzieś koło roku 1908 zabrał mnie mój ojciec, komediopisarz Zygmunt, na parę miesięcy z Krakowa do Warszawy, bodajże mając jakieś pilne sprawy, związane ze „Szkołą”, którą

grały „Rozmaitości”. Wziął mnie bym się przewietrzył i tyknął zakordonowej Polski. Prosto z Dworca Wiedeńskiego, z którego dziś nie ma ni śladu, pojechaliśmy do Teodorostwa Rolandów na Mazowiecką i tam na prośby obojga i ich synów, Witka, starszego odemnie dwoma laty i Jurka, tyłez młodszego, zostałem na czas naszego pobytu w Warszawie. Na świecie srożył się luty grudniowy mróz, biały śnieg przysypywał dni ku Bożemu Narodzeniu, ja atoli z tej gościnny w domu aktorskim pamiętam samo ciepło i złoże wieczorów, spędzanych z młodymi Rolandami na rozczytywaniu się w „Potopie”.

WILIA U ROLANDÓW

... Po Wilii przeszliśmy na prezenty i kolendy do salonu, pod choinkę. Wi-

tek dostał pudło akwareli, Jurek i ja hełmy i pancerze. Jakoś przy kolendach Roland zniknął. Ja to jeden zauważyłem: zaczęliśmy z panią Heleną „Bóg się rodzi” a on przysunął się do kotary i wymknął się do pokoju obok.

Wyślizgnąłem się po chwili za nim, ciekawy, czemu z nami nie śpiewa. W pokoju było ciemno. Roland stał przy oknie i patrzył w górę, na niebo. Zbliżyłem się na palcach i zapętałem go cicho.

— Proszę pana? Czy pan widzi gwiazdkę?

Pogłaskał mnie po twarzy. Słów jego nie zapomnę nigdy. Rzeki:

— Widzę wojsko polskie. Januszkę. Równie dobrze mógł powiedzieć: widzę Polskę.

Janusz Kawecki

Przemarsz przez piekło ¹⁰⁾

Ostatnie chwile Starego Miasta

Młcisław wraz z por. Prymusem odbywa inspekcję całego odcinka. Na teren trzymany przez pierwszą komp. „Wigier” nacierają dwa czołgi. Jest dwóch zabitych. Część Brzozowej do Mostowej nie jest w ogóle obsadzona. W każdej chwili w tą lukę może się wlać nieprzyjaciel. Płonie dom na Brzozowej 26, podpalony przez Niemców, którzy wdarli się rano w ten teren. Sytuacja jest krytyczna. Na wszystkich stanowiskach ogniowych i obserwacyjnych powstańcy znajdują się u kresu wytrzymałości nerwowej i fizycznej.

NAJTRUDNIEJSZA DECYZJA

Płk. Wachnowski składa telefonicznie meldunek gen. Monterowi. Przebiecie oddziałów dzielnicy staromiejskiej nie udało się. Powodów było wiele. Ogromne tłumy ludności cywilnej skupione na trasie przebiecia, zatrasowały przejście kolumn uderzeniowych, uniemożliwiając wszelką łączność. Wiele oddziałów nie zdołało na czas dotrzeć do swoich podstaw wyjściowych. Wskutek tego natarcie pozabawione było należytej siły. Przede wszystkim brak było wsparcia ogniowego broni maszynowej. Nieprzyjaciel nie zorientował się w istotnych naszych zamiarach. Większość oddziałów zdążyła zająć dawne stanowiska obronne. Takie tłumy zbite w ciasnej gardzieli uliczki obok kina Miejskiego, tuż przed samym zjawieniem się lotnictwa bombowego zdołały odplynieć w ramiona ulic... W końcu zaznacza płk. Wachnowski: będąc się bronili do ostatka.

Dla obrońców Strówki pozostawała ostatnia droga ratunku — odwrót kanałami.

W Komendzie Głównej A.K. w Śródmieściu zapada szybko decyzja — wraz z bronią ewakuować powstańców kanałami. Zdawało sobie jasno sprawę z niebezpieczeństwa tego przedsięwzięcia. Bór pisał o nim:

„Była to jedna z najtrudniejszych decyzji, które musiałem powziąć w Warszawie. Aby wykonać ten plan, wszystkie barykady musiały być pozabawione obrońców, a gdy ludzie raz weszli do kanałów, to już nie mieli odwrotu... Ponadto ludzie w kanałach byłiby bezbroni i ryzykowali, wchodząc jednocześnie w takiej ilości, wykrycie przez Niemców. Parę bomb gazowych, ciśniętych przez otwory lub panika w tunelach, mogły doprowadzić do tego, że żywa noga by nie wyszła. Nie widziałem jednak innego wyjścia. Z poczuciem największej odpowiedzialności wydałem ów rozkaz”.

ODWRÓT KANAŁAMI

Warszawa, a z wiaszcza dzielnica staromiejska miała bogate i żywe tradycje — walk w kanałach. Nieraz też wykorzystywano je jako drogi komunikacyjne.

Przed kilku laty, gdy łańcuch wysokich murów i gęstych posterunków, składających się z Łotyszów, Litwinów, Ukraińców i Niemców opasał stołeczne ghetto, skazując wielotysięczne rzesze na śmierć i zagładę, polskie organizacje podziemne dostarczały do ghetta kanałami broń, materiały wybuchowe, amunicję i żywność. Dzięki temu ghetto mogło się przygotować do obrony.

Kiedy 17 kwietnia 1943 r. Stroop, dowódca SS i policji Generalnej Guberni, przystąpił do

całkowitej likwidacji żydów, ocalałych z poprzednich pogromów akcja do pewnego stopnia jest już zorganizowana. Kilkanaście dni toczą się zacięte walki. Niemcy dla złamania oporu używają czołgów, wozów pancernych, lotnictwa, artylerii i gazów. Nie mogło się ostać bohaterstwo obrońców wobec przewagi technicznej hitlerowskich sił. Pożary zmusiły żydów do opuszczenia bunkrów i stanowisk obronnych w domach. Gromadnie chronili się do kanałów, lecz gdy te zostały zalane wodą, żydzi wysadzili w powietrze większość zapor.

W następnych dniach Niemcy otwierają na ulicach 183 waży do kanałów, wpuszczają do nich gaz i wrzucają świece dymne, aby zmusić żydów do wyjścia na powierzchnię, a gdy to nie może złać obrońców, większość kanałów, z wielu tysiącami ludzi wysadzają w powietrze. Tylko niewielu udaje się uciec straszliwej śmierci.

Teraz wieść o zarządzonej odwrócie kanałami do Śródmieścia szybko rozchodzi się wśród obrońców i ludności cywilnej i wywierają wstrząsające wrażenie. Pamiętają wszyscy opowiadanie o gehennie i tragedii wielutysięcy żydów, którzy znaleźli śmierć w labiryncie kanałów. Słyszano wiele o tym, jak nasi chłopcy i dziewczęta nosili broń kanałami ze Śródmieścia i Żoliborza. Wielu z nich zginęło.

Na Ochocie po jedenastu dniach walki oddział powstańczy w sile 80 ludzi z bronią i oporządzeniem, przechodzi nocą kanałami pod Wawelską, gmachem Szkoły Nauk Politycznych i Głównej Dyrekcji Lasów Państwowych, z myślą o dotarciu do Kolonii Staszycy. Wychodzą na powierzchnię przy ulicy Langiewicza. Nie widzą nawet, że cały ten teren jest w rękach Niemców. Przekradają się więc górą przez ogródki działkowe na Pole Mokotowskie i nieuważeni przez Niemców docierają bez wystrzału do powstańczej barykady przy ulicy Śniadeckich.

Wobec przeciagających się powstańczych walk i widma nieuchronnej zagłady wspomina ludność staromiejska o schronach i piwnicach, o tajemniczych przejściach i kanałach. Odzywają dawne legendy i opowiadania o tajemniczym labiryncie korytarzy i piwnic, rozciągających się pod staromiejskimi ulicami, placami i kamienicami. Najbardziej znane są podziemne przejścia i chodniki łączące Zamek Królewski z Katedrą Św. Jana. Mówi się, że niektóre domy przy Kanonii mają połączenia z kamieniczkami po zachodniej stronie Rynku i Krzywym Kołem. Podobnie cały system korytarzy łączy staromiejskie świątynie.

W nocy nadchodzi rozkaz od płk. Montera:

„Oddziały powstańcze z bronią w rękę dokonają odwrótu kanałami do Śródmieścia. Zależę mi, aby jaknajwięcej ludzi z bronią i amunicją przeszło. Będą potrzebni do dalszej walki.

— A co z rannymi i z nieuzbrojonymi.

— Wszystkich pozostawić!

Płk. Wachnowski nie wierzy w autentyczność tego rozkazu. Wysyła kanałami oficera do specjalnych zleceń, który powraca i potwierdza polecenie.

Już od kilku dni odbywała się ze Starego Miasta systematyczna planowa ewakuacja

rannych, sztabów drugiego rzutu, części personelu sanitarnego, Delegatury Rządu, Władz komunalnych i wielu innych osób.

Wreszcie płk. Wachnowski wydaje rozkaz odwrótu kanałami.

Do godziny 20-tej, dnia pierwszego września zakończy się ewakuacja nieuzbrojonych i lekko rannych. Po tej godzinie rozpocznie się już odwrót kanałami oddziałów bojowych z bronią w rękę, amunicją i sprzętem, około 1.500 ludzi. Ewakuacja powinna się zakończyć najpóźniej drugiego września o godzinie 9 rano

Podana jest kolejność i czas wejścia każdego zgrupowania. Najpierw „Róg”, po tym „Sonna”, „Trzaska” i „Radosław”.

Ewakuacją będzie nadal kierował ppłk. Paweł (Rataj Paweł, brat marszałka sejmu) i kpt. Danuta. Straż tylna złożona będzie z wydzielonych oddziałów tych zgrupowań. Dowodzić nią będzie ppłk. Tur, zastępca ppłk. Radosława.

Wszystkie oddziały dzielą się na grupy, liczące po 50 ludzi. W dowództwie wydają przepustki dla niewielkiej liczby ludności cywilnej, pragnącej przejść do Śródmieścia. Nieopisanym run powstaje w miejscach, gdzie wydają przepustki. Nawet w takich chwilach znajdują się najbardziej podłe okazy fauny ludzkiej, które żerują na tragedii. Rozchodzi się wieść, że można dostać przepustkę za kilkadziesiąt dolarów. Podobno żydzi, którym groziła niechybna śmierć w razie dostania się w ręce Niemców, płacąc żądane sumy. Wymieniano nazwiska i pseudonimy tych szakali i hien. Dziwiono się skąd, żydzi mogli zdobyć już pieniądze, kiedy ich gołych, jak święty Turecki, uwolniono z obozu koncentracyjnego na Gęsiówce.

W stronę domów, okalających władzy zaczynają ciągnąć uzbrojone grupy i oddziały bez broni. Wloką się o kijach ranni. Niektórych z nich niosą na ramionach towarzysze broni i sanitariuszki.

Oddziałom żandarmerii polowej udaje się zrazu utrzymać porządek i kolejność dopuszczania do wjazdu według instrukcji. Kpt. Danuta pracuje nieustraszenie, sprowadza grupy, stara się być dyktatorką. Jej nieustanny krzyk i ochrypły głos z ciemności wywołuje niesamowite wrażenie i wielokrotnie wzmacnia tylko dezorientację i chaos. Sekunduje jej tutaj mjr. Barry. Chłop rosty, w polskim hełmie, stoi przy władze z pistoletem. Obok niego dwóch „kanarków”, nieodstępnych aniołów stróży, z p.m-ami w garści. Sypie piorunami, szafuje hojnie cholerami, nie daje wchodzić do kanału ze zbyt wielkimi bagażami, tobołkami. Wielu ludzi wlokąc się ostatkiem siły porzuca w kanałach swój ekwipunek i bagaże. Uniemożliwiają przejście następnym grupom, podnosi się przy tym poziom ścieków. Wielu chce z bronią, przemknąć się na własną rękę przed ustaloną godziną. Jednak mjr. Barry bezpartonowo i brutalnie przestrzega rozkazu, że nikt nie ma prawa wejść do godz. 20-tej z bronią. Traktuje każdego, jako dezertera z szeregów, odbiera mu broń i odsyła pod eskortą do dowództwa. Dochodzi do scen pełnych trąglicznego napięcia, nieomal wybuchów rozpacz. gdy wielu rannych żołnierzy zmuszonych jest oddać broń. Nie chcą się jej wyzybywać. Jest przecież ona własnością najdroższą, a nie-

mal prywatną każdego, zdobyczą i trofeum.

Nie pomagają interwencje, tłumaczenia, że żołnierz porzuci w kanałach prędzej chleb, żywność, wszystko — tylko nie broń.

Pod władz ściągają oddziały zgrupowania „Radosław”, tak strasznie skrwawione. Nie oddadzą broni. Wybuch gwałtowne zajście. Ranni żołnierze gotowi utorować sobie drogę bronią i przejechać się po żandarmach. Przynoszą pod władz ppłk. Radosława! Ostro interweniuje. Zaczynają wpuszczać rannych żołnierzy do kanału z bronią.

KIEDY NERWY ODMÓWIĄ POSŁUSZENSTWA

Niemniej niż inne oddziały była skrwawiona kompania 104 Związku Syndykalistów Polskich. Z ponad trzystu ludzi pozostało przy życiu około siedemdziesięciu. A i ci w większości byli ranni. W te makabryczną i długą jak wieczność noc nieudanego przebiecia, oni jedni wytrwali do końca na osłonowych stanowiskach swojego zgrupowania, gdy wiele innych oddziałów bez rozkazu, zeszło z posterunków, pozostawiając wszystko na łasce Boga. Widzieli, jak inni śpiesznie i bezładnie odchodzili. Oni trwali, bo taki był rozkaz. Strzegli nawet stanowisk opuszczonych przez innych.

Nad ranem na murach wielu kamienic ujrze-li białe chorągwie. Gromady ludzi z tobołkami i białymi płachtami w rękach szły, jak obłąkane ku stanowiskom nieprzyjacielskim, wprost na strzały. Chłopcy zatrzymywali ich. Wiedzieli, że ludzie ci idą na pewną śmierć, męczarnie i pohabienie. Tłumaczyli, prosili. Nikt ich nie słuchał. Przyjmowano z największym oburzeniem każde słowo nadziei. Nie wierzono zapewnieniom, bo jakąż one mogły mieć realną wartość? Nikt już nie czytał prasy i nie słuchał wiadomości, choćby najlepszych.

Każdego chłopca oblegały nieustannie gromady mieszkańców z zacisniętymi pięściami, z twarzami skręconymi bólem i wściekłością. Nie liczone się już z niczym. Usta miotają przekleństwa i złorzeczenia na wszystkich i wszystko.

— „Zbrodniarze! Sprawcy naszych nieszczęść i naszych cierpień! Mordercy naszych dzieci!” I furczyły chłopcom kamienie nad głowami. Jakaś młoda kobieta, obłąkana z rozpacz po stracie trojga swoich maleństw, rzuciła się w pazurami do twarzy i oczu któregoś z żołnierzy.

— „Bodajby cię pierwsza kula nie minęła...”

W godzinę później dostał ów chłopiec odłamkiem. Leżał na gruzach z twarzą dziecinną, bladą i przeoraną krwawymi bródzami. Ofiara przekleństwa bratniego?

Narastała wśród żołnierzy powstańczych panura rozpacz. Wkradało się w dzielne i czyste serca zwątpienie i przeświadczenie, że oni są sprawcami tych nieszczęść, że są zbrodniarzami...

Przed kilku godzinami włókł się powoli do dowództwa zgrupowania „Róg”, na Podwału por. Wronski (inż. Purczyński Kazimierz), ich dowódca, aby omówić wytworzoną sytuację. Towarzyszyli mu jego zastępca por. Koperski (Potz Witold) i łączniczka Jadwiga (Michałakówna).

Tydzień kulturalny

TRZEBA SIĘ UCZYĆ...

PEWIEN naiwny pan z „Kuznicy” zaatakował nas za artykuł J. Dobraczyńskiego pt. „Dmowski i katolicyzm”. Wzmiankowane wywody rozpoczynają się patetycznym zwrotem o „przywódcy polskiej reakcji — Romanie Dmowskim”, nazwanym znowu gdzie indziej „patronem gheft lawkowych i Przytyków”, a kończą stwierdzeniem, iż „Dobraczyński zdaje się zapominać i o programie antysemitkim i o stosunku Dmowskiego do rewolucji październikowej. Dmowski walczył o porozumienie z Rosją ale jak i kiedy? Tego p. Dobraczyński nie chce pamiętać. Ale my pamiętamy”.

Zobaczymy co to te „my” pamiętają.

W związku z artykułem Dobraczyńskiego otrzymaliśmy list od p. Mieczysława Niklewicza, najbliższego przyjaciela i towarzysza lat raczy R. Dmowskiego. P. Niklewicz pisze m. in.: „Poseł Bocheński przy ratyfikacji umowy o przyjaźni i wzajemnej pomocy między Rzeczpospolitą Polską i Czechosłowacją przypominał i cytował dalekowzroczny ogląd Dmowskiego i wypowiedzi mówiący: „ale czyż można zapomnieć co przed pół wiekiem mówił i pisał wielki twórca przyjaźni słowiańskiej, organizator frontu antygermańskiego nauczyciel narodowy Roman Dmowski”. Wiele takich przypomnień nasuwają pamięci różne Jego powieści, wywody i twory. W 1920 roku po powrocie z Francji p. Roman, zapytany przez jednego z „włókiaków na Polnej 72 dlaczego nie dołączył do Prus Wschodnich do Polski, odpowiedział: „po naszej wojnie przegranej przez Niemcy Polska osiągnie Prusy Wschodnie...”. Profesor Stanisław Grabski w swoim artykule „Między Niemcami a Rosją” (Słowo Powszechne Nr 41) pisze: „Dmowski gdyby dziś

żył, opowiedziałby się z pewnością również jak ja zdecydowanie za przesunięciem — w wyniku ostatniej wojny — Polski na zachód na jej przastare piastowskie terytorium”. Niewątpliwie, Panie Profesorze, Dmowski po tamtej wojnie napisał książkę: „Polityka polska i odbudowanie Państwa”, której treść jest jak gdyby piśmiennym sprawozdaniem z okresu historii zakończonego odbudową Państwa i tam zostawił następnym pokoleniom, mającym stworzyć dalszą historię tego odnowionego Państwa, wskazówkę w dedykacji na czele książki:

„W dziewięćsetną rocznicę chwili dziejowej, kiedy Wielki Król, Polityk i Wojownik umierając zostawił po sobie potężne Państwo, podwaliny pod rozwój wielkiego Narodu i wytyczne polityki polskiej, które po dziś dzień zachowały swą żywą wartość. Książkę tę poświęcam tym wszystkim, którzy noszą w duszach i usiłują wykonać Testament Chrobrego”.

Cóż kiedy w Londynie ci co się mieniać być ze szkoły Dmowskiego tej dedykacji nie czytali a b: jej całkiem nie zrozumieli...”

Niewątpliwie trudno jest tym bardziej wymagać aby publicysta z „Kuznicy” ją zrozumiał. Tym niemniej wymagać chyba można, aby biorący pióro do ręki by pisał publicznie, wiedział choćby coś nie o tym, o czym chce pisać. Roman Dmowski nie tylko już po wojnie (w styczniu 1925) wydał swą „Politykę Polską” — aktualizując tym samym swe poglądy sprzed i z czasu wielkiej wojny (o co miał do niego niebysywała pretensję autor broszurki „Roman Dmowski — czołowiec diabła...”), ale także w 1931 napisał swą kapitalną książkę p.t.: „Świat powojenny a Polska”. W przedmowie do książki pisał: „Pod wiosnę roku ubiegłego świat stał się widowiskiem niesłychanie energicznej agitacji przeciwko Rosji sowieckiej. Widoczne było, że celem tej agitacji jest wy-

wolanie wojny... Zamiar doprowadzenia Polski do wojny z Rosją, ujawniony został aż nadto wyraźnie przez kunsztownie przygotowany zamach na poselstwo sowieckie w Warszawie, wykryty już post factum, kiedy agitacja za wojną ucichła. Dla każdego kto chciał rzeczy widzieć takimi jakie są było jasnym, że Sowiety wojny nie chcą, że pragną jej uniknąć, że poszły by na nią tylko gdyby były sprowokowane... Zaniepokojony tą akcją zrobiłem wszystko com mógł ażeby zdobyć informacje o jej istotnych sprężynach, o tym kto za nią stoi, jakie są jej motywy, jakie cele wojny do której nas tak usilnie pchano. Gdym się dosyć dowiedział, podzieliłem się częścią mych wiadomości z ogółem polskim... Artykuły te odbiły się głośnym echem zarówno w Rosji jak i na Zachodzie. Zdaje się, że przyczyniły się one nieco do przerwania tej wojowniczej akcji... Tyle w przedmowie. W treści pisze Dmowski: „Zdaniem moim Rosja zbliża się do roli pierwszorzędnej w stosunkach światowych. Bolszewicy swoim systemem związały państwo rosyjskie ściśle z Europą. Gdyby nie oni era rozpoczęta abdykacją cara prawdopodobnie doprowadziłaby je do rozsypania się. Zrobili to przez udoskonalenie i zastosowanie wypróbowanych od dawna starych metod mackiewiczkich, które w danej chwili mogły być narzuć tylko w imię hasła najskrajniejszych, w imię Marxa. Gdyby to był obmyślany z góry, na zimno wykonany plan ocalenia wielkiej Rosji, trzeba by go nazwać genialnym... Trzeba stwierdzić, że poważne obawy w tym względzie budzi nie tyle propaganda bolszewicka ile stan moralny świata naszej cywilizacji, jego zmaterializowanie, bezinteresowność i brak wyższych aspiracji... My możemy być niezadowoleni z linii granicznej pokoju ryskiego, ale to nie odgrywa w naszej polityce wielkiej roli...”

te uczucia nie mogą nas wykoleić z drogi, którą nam dyktuje dobro Polski jako całości i jej przyszłości”...

Przytoczyliśmy kilka cytat na chybił trafił niemal wyrwanych z książki. I chcielibyśmy się dowiedzieć czy ów pewny siebie pan, nazywający jednego z największych myślicieli najstarszego pokolenia Zygmunta Wasilewskiego „starym endeckim bonzą”, choć raz zajrzał do książek Dmowskiego, o których usiłuje, teraz pisać? Czy przez przedziwną ignorancję czy też z innych zupełnie powodów chce wytlumaczyć czytelnikom „Kuznicy”, iż Dmowski w 1931 r. domagał się porozumienia... z carem batiuszką?

Niestety — trzeba się uczyć. Tak to kiedyś mocno przypominał p. Stefan Żółkiewski: trzeba się uczyć, przemiął wielki złoty!

PRZEWODNIK PO TATRACH

Ukazało się VII wydanie „Przewodnika po Tatrach i Zakopanem” — Tadeusza Zwolińskiego. Przewodnik ten ma już swoją tradycję, wychowały się na nim dwa pokolenia taterników. Prosty i jasny w użyciu daje to, co przeciętnemu „zwiedzaczowi” Tatr najzupełniej wystarczy i co nieprzekracza jego sił. Prawdziwych wspinaczy obowiązuje nadal wyczerpany od dawna w handlu, przewodnika Świerza i Chmielewskiego.

Nowe wydanie „Przewodnika” drugie po wojnie — pozbawione jest przepisu dróg i partii na czechosłowackiej stronie Tatr. Uważamy to za wielki błąd: raz dlatego, że przewodnik powinien służyć nie na rok, a wieczny wiek, że już tego lata powinniśmy otrzymać polsko - czechską konwencję w sprawie ruchu turystycznego w pasie Tatr, powtóre — „Przewodnik”, który jest taką cenną publikacją propagując właściwy stosunek do gór, mógłby odegrać taką samą rolę wobec turystów czechosłowackich, niestety, jak wieść niesie, jesz-

cze gorzej traktujących „majestat” gór, niż turyści polscy.

Wracając do sprawy konwencji — oczekujemy, że zostanie ona podpisana jak najszybciej. Sezon turystyczny jest już w pełni, zaś jakkolwiek podział Tatr — podkreśliłmy to już kilkakrotnie — ze względu na ich rozmiar, jest czymś absurdalnym. O ile wiemy Polskie Tow. Tatrzańskie, którego prezesem został ostatnio p. m. Władysław Wolski — pracuje intensywnie nad tą sprawą. Nie wiemy natomiast, jak się do niej ustosunkowały zainteresowane urzędy państwowe i ministerstwa.

WALDORFF — DOBROWOLSKI

P. S. R. Dobrowolski, niski pan o gromkim głosie, zaatakował redaktora „Przekroju” p. J. Waldorffa jako... faszystę. Śliczna zabawa! Dotychczas panowała u nas opinia, że pisarz, który z kraju nie uciekł, nie wymienił go na dobrowolną emigrację, jest już pisarzem „demokratycznym” — a p. A. Watt nawet istnieniem takich pisarzy w Polsce pochwalili się na zjeździe PEN - klubu w Zurichu. P. Waldorff nie uciekł z kraju, siedzi, wydaje, chyba dostatecznie demokratyczny „Przekrój”...

A tu: faszysta!

Psia kość! Podczas bardzo miłego obiadu wydanego przez „Odrodzenie” dla gości czeskich i słowackich wygłosił mowę p. A. Sandauer. Mowa była bardzo poetycka, bardzo miła i bardzo kulturalna. Niedługo potem zabrał głos p. S. R. Dobrowolski i zmiażdżył Sandauera potokiem haczących, jak grom słów. Gdy burza ucichła — gość słowacki, siedzący między Sandauerem i Zagórskim, — zapytał, cichym szeptem: „Czy to przypadkiem nie wojskowy?” Sądzieli upewnili miłego gościa, że w Polsce powojennej wojskowi przemawiają zawsze z sensem i zawsze w porę. Wyjątek może potwierdzać tylko regułę.

Jerzy Pertek

W CIENIU DOENITZA

(Ostatni dowódca »Kriegsmarine«)

Ilu ludzi piastowało w toku ubiegłej wojny dowództwo niemieckiej marynarki wojennej i jak się nazywał ostatni dowódca? Na pytanie to, zadawane różnym osobom, interesującym się i naogół nieźle zorientowanym w historii minionej wojny, rzadko otrzymuje się zgodną odpowiedź. Prawie wszystkie są równobrzmiące: — dwóch ludzi, przy czym drugim i ostatnim był Doenitz, który dowództwo objął po twórcy i długoletnim dowódcy niemieckiej marynarki wojennej, Readerze. Tymczasem, w rzeczywistości „Kriegsmarine” miała w toku wojny 1939 — 45 trzech dowódców i w niczym nie zmienia tego faktu, że ostatni piastował to w zasadzie wysokie, ale wówczas już nieledwie groteskowe i fikcyjne stanowisko zaledwie tydzień. Działo się to pod sam koniec istnienia „Trzeciej Rzeszy”, gdy większość niemieckiego terytorium było już zajęte przez armie alianckie, Hitler nie żył, Wermacht znajdował się w rozsypanie, a Kriegsmarine właściwie już nie istniała, bo niemal wszystkie jej większe okręty pocywały na dnie mórz i własnych portów, zdruzgotane ciosami alianckiej floty i lotnictwa.

Tym ostatnim, kilkudniowym dowódcą niemieckiej marynarki wojennej, kolejnym następcą Readera i Doenitza, był Generaladmiral Hans von Friedeburg, zamianowany na to stanowisko i awansowany do tej najwyższej po marszałku rangi przez Doenitza, gdy ten został głową i „wo-

dzem” upadającego państwa hitlerowskiego. Krótkotrwałości wodzostwa Friedeburga dostatecznie dowodzi fakt, że w czasie sprawowania dowództwa zdążył wydać jedynie dwa rozkazy: jeden oznajmiający o swej nominacji i objęciu dowództwa, drugi — w 4 dni później — wzywający podległe sobie siły do kapitulacji. Ostatnimi dwoma czynami, które Friedeburg wykonał jako „Oberbefehlshaber der Kriegsmarine” był udział w podpisaniu dwóch aktów kapitulacyjnych, 4 maja w kwaterze głównej marszałka Montgomery’ego i 8 maja w Berlinie. Wkrótce później nastąpił jego trzeci i ostatni akt kapitulacyjny: samobójstwo, popełnione w dniu aresztowania „małego führera z Flensburga” — jak nazywano Doenitza — wraz z członkami jego groteskowego rządu, dowództwa i sztabu.

Gorzko — jak wynika z powyższego — ten krótkotrwały głównodowodzący musiał okupić „zaszczyt” kilkudniowego piastowania jednego z najwyższych stanowisk w hierarchii wojskowej Niemiec. Bardzo gorzko, jeśli się zważy, że tych kilka — jakże upragnionych może — dni dowództwa nastąpiło w czasach dla Niemiec wogóle, a dla Kriegsmarine i Friedeburga w szczególności — tragicznych. Podczas gdy tyle jaśniejszych, dających złudne nadzieje, obfitujących w pyrrhusowe sukcesy dni, tygodni i miesięcy przeżył Friedeburg w toku blisko sześćdziesięciu wojny, dzieląc wówczas tylko stanowisko zastępcy dowódcy okrętów pod-

wodnych. To stanowisko zastępcy dowódcy najgroźniejszej niemieckiej broni — „U-Boot-Waffe” — wymagało w służbie oddania wszystkich sił, zdolności i umiejętności, a dawało w zamian — Friedeburgowi osobiście, nie zaś sprawie, dla której pracował — tak mało, prawie nic, bo tylko... awansy.

Gdyby ktoś dopatrywał się ironii w tych słowach, jest w błędzie. Awansy — to było całe wynagrodzenie Friedeburga, to było wszystko. I dlatego to było bardzo mało, jeżeli się zważy, że Friedeburg był od początku wojny do końca niemal, zastępcą Doenitza i dlatego żył zawsze w jego cieniu. Doenitz był sławny, Doenitz był wielki, Doenitz był oczkiem w głowie Hitlera i bożyszczem narodu niemieckiego — o Friedeburgu słyszeli nieliczni, wiedzieli ci co, wiedzieć powinni. I czym Doenitz był większy, czym jaśniejszym blaskiem sławy, zaszczytów i honorów świeciła jego gwiazda, tym większy padał cień na Friedeburga. Awansował, owszem. To było jedyne zadosyćczenie za jego ciężką i odpowiedzialną służbę, mniej odpowiedzialną niż Doenitza — zgoda, ale napewno cięższą. Bo Doenitz w styczniu 1943 roku został dowódcą całej marynarki wojennej i z tego tytułu duży część swego czasu spędzał w kwaterze Hitlera. Friedeburg zaś wykonywał w tym czasie wszystkie prace dowódcy okrętów podwodnych, którym teoretycznie w dalszym ciągu był Doenitz,

praktycznie coraz więcej jego czynności sprawował Friedeburg.

Awansy to był jedyne dowód zasług Friedeburga. Dowód wprawdzie wyjątkowy, bo Friedeburg awansował w ciągu wojny tyle prawie razy co Doenitz (choć zawsze dużo później) i podobnie jak Doenitz — zwykły komandor (pułkownik) w chwili wybuchu wojny, piastował z jej końcem najwyższą rangę generalską, ale nawet to nie mogło osłodzić gorczy faktu, że przez całą wojnę Friedeburg był tym wiecznym drugim, a kiedy został wreszcie pierwszym, nie zyskał tak, jak poprzednio Doenitz, uprawnień do pierwszeństwa w sukcesach, zaszczytach i sławie. Pierwszeństwo Friedeburga było pierwszeństwem do wzięcia na swe barki ciężaru odpowiedzialności za decyzje, podejmowane w obliczu bezprzykądnych klęsk, powalających Niemcy na kolana, było pierwszeństwem do przyjęcia największego ciosu, jaki może spotkać do wódcę: kapitulacji.

O Friedeburgu, który przez cały czas wojny był zastępcą Doenitza, jako głównodowodzącego niemieckich okrętów podwodnych, głośno było w świecie jedynie na samym początku i końcu wojny. Na początku w związku ze sprawą zatopienia „Athenii”, na końcu z racji jego nominacji na „ObdK” — głównodowodzącego marynarki wojennej. W ciągu pięciu i pół lat dzielących oba wydarzenia, Friedeburg był chyba jednym z najmniejszych znanych wyższych oficerów „Kriegsmarine”. Głośno było o wielu nłższych dowódcach okrętów podwodnych — to byli ci, którzy tworzyli legendę niezwykłości niemieckiej floty podwodnej: Prien, Schepke, Schuhart, Kretschmer, Hartman, Lueth, Endrass, Guggenberger, Tiesenhansen, Bigalk — możnaby długo cytować nazwiska. Dowódcy większych

jednostek nawodnych i dowódcy zespołów, których sukcesy były rzadkie, otaczani byli sztucznym nimbem, ale mówiono o nich również dużo. Bonte, Bey, Erdmenger, Luetjens, Marschall, Ciliax, Schniewind, Fricke i wielu, wielu innych. Oprócz tych nazwisk oczywiście Raeder i Doenitz. Pierwszy w miarę lat wojny raczej coraz rzadziej wymieniany, drugi coraz częściej. A Friedeburg? w jakich komunikatach wymieniano jego nazwisko, w jakich pismach czy książkach o nim pisano, gdzie zamieszczono choć jedno jego zdjęcie? Można przewertować stos niemieckich pism codziennych, periodyków i książek z okresu wojny. Może jedynie w pismach fachowych znajdzie się wzmiankę o Friedeburgu, jego zdjęcia zapewne nigdzie. W każdym razie dla polskiego Czytelnika pierwszym zdjęciem Friedeburga będzie napewno jego zdjęcie ostatnie: gdy siedzi obok Keitla, podpisującego bezwarunkową kapitulację Niemiec w Berlinie. A pamiętajmy, że Friedeburg był przez pięć i pół roku zastępcą głównodowodzącego niemieckich okrętów podwodnych, największej floty podwodnej jaką kiedykolwiek widział świat. I z całą pewnością jest mało, jeżeli przerzuciwszy niemiecką literaturę wojenną możemy na palcach policzyć wzmianki o Friedeburgu, za wyjątkiem oczywiście sprawy „Athenii” i nominacji przy końcu wojny. Czasem, któryś z podwładnych Friedeburga wspomni o nim, jak np. Prien w swej książce „Mein Weg nach Scapa Flow”, lub sam Friedeburg przypomni się światu (czytaj Niemcom) wpisując do książki ze wspomnieniami wojennymi swych podwładnych (Lueth i Korth — „Boot greift wieder an!”) kilka słów przedmowy. Jest to jedyna reklama, jaką może sobie zrobić „Konteradmiral von Friedeburg, der 2. Admiral der Unt-

Z zagadnień gospodarczych

Waloryzacja czy nominalizm

Kwestia spłaty zobowiązań zaciągniętych przed wojną i podczas okupacji nie została dotychczas rozstrzygnięta, tak, że panuje ogólna dezorientacja co do tego ile dłużnicy winni za nie płacić, a ile wierzyciele mają za nie żądać. Ci ostatni starają się narzucić dłużnikom zapłatę wielokrotności sumy dłużnej, by w ten sposób wyrównać choćby częściowo różnicę między dzisiejszą a przedwojenną wartością pieniądza. Oczywiście konsekwencją takiego stanu rzeczy są spory między dłużnikami i wierzycielami. Orzecznictwo Sądu Najwyższego, które stwierdza, że wykonanie zobowiązania zdeprecjonowanym pieniądzem uwłacza słuszności i wymogom dobrej wiary — nie wyjaśniło całkowicie tej sytuacji.

Siłą rzeczy wytworzą się normy prawa zwyczajowego, które regulują przerachowanie przedwojennego zadłużenia w pewnej wielokrotności sumy dłużnej indywidualnie dla poszczególnych wypadków. Oczywiście, że różnorodność i samorzutne rozwiązywanie tego problemu może być w wielu wypadkach szkodliwe, tak że pożądanym byłoby jego generalne uogólnienie.

W rozważaniach nad sposobem spłaty przedwojennego i okupacyjnego zadłużenia wysuwają się dwie zasadnicze koncepcje: pierwsza — polegająca na nałożeniu na wierzycieli obowiązku przyjmowania należnych im świadczeń w nominalnej kwocie zobowiązania, druga — polegająca na całkowitym lub częściowym przywróceniu roszczenia jego pierwotnej wartości (tj. waloryzacja).

Jak wiadomo po pierwszej wojnie światowej problem ten został rozwią-

zany przy pomocy zastosowania koncepcji waloryzacyjnej. Z tego powodu jak również i ze względu na postulat słuszności panuje dzisiaj powszechne przekonanie, że spłata przedwojennych zobowiązań według ich wartości nominalnej jest niesprawiedliwą i krzywdzącą wierzycieli. W tym miejscu uwzględnić jednak należy okoliczności, które osłabiają słuszność powyższego poglądu.

Ze względu na istniejącą po pierwszej wojnie światowej nieograniczoną swobodę gospodarczą jednostek zagadnienie waloryzacji rozgrywało się wówczas jedynie na płaszczyźnie stosunku prawnoprywatnego między jednostkami. Uzasadnionym więc było, aby uprawnienie wypływające z tej swobody nawiązywało i dążyło do przywrócenia choćby częściowej wartości podstawy materialnej okresu poprzedzającego deprecjację pieniądza. Kryterium w oznaczeniu stopnia, w którym należało przywrócić świadczenia wartość przedwojenną stanowił interes obu stron oraz ochrona dłużnika przed ruiną gospodarczą.

W obecnej chwili sytuacja zmieniła się zasadniczo:

po pierwsze — na skutek działań wojennych oraz przesiedleń, związek organiczny między przedwojenną a obecną działalnością jednostek przestał w wielu wypadkach istnieć, po drugie — przeobrażenia strukturalne, jakie dokonane zostały w gospodarce narodowej w ciągu ostatnich dwóch lat wskazują na to, że zagadnienie winno być rozpatrywane nie tylko na płaszczyźnie prawnoprywatnej, ale również na płaszczyźnie prawnopublicznej, w której dominującą rolę

odgrywa interes społeczny, a nie interes jednostki. Innymi słowy ogólnogospodarczy interes winien być podstawą takiego czy innego rozwiązania problemu. W związku z tym następujące argumenty przemawiają przeciwko waloryzacji zobowiązań zaciągniętych przed wojną:

1) W wyniku upaństwowienia podstawowych gałęzi gospodarki narodowej Państwo jest obecnie bodajże najpoważniejszym wierzycielem. W funkcjonowaniu upaństwowionych gałęzi gospodarki ewentualne wpływy z waloryzacji nie zostały brane pod uwagę: środki obrotowe zostały dostarczone przez państwo w całości, a kalkulacja poszczególnych przedsiębiorstw nie została w żadnym wypadku oparta na poprzednich wierzycielnościach tych przedsiębiorstw, tak, że realizowanie względnie nierealizowanie przedwojennych należności nie wywrze wpływu na gospodarczy rozwój omawianych placówek. Tym samym waloryzacja przejętych przez państwo należności nie miałaby uzasadnienia gospodarczego. Ponadto zwrócić należy uwagę, że w myśl ustawy nacjonalizacyjnej państwo jest zobowiązane do zapłacenia zobowiązań obciążających upaństwowione przedsiębiorstwa, dalej, że przejęło ono odpowiedzialność za długi obciążające własność ziemską (w związku z reformą rolną). Jeżeli dodamy do tego zadłużenie samorządu otrzymamy że nadto wykłumaczalną odpowiedź że państwo nie byłoby w możności spłacić swych zobowiązań gdyby była w stosunku do nich zastosowana waloryzacja. Nie wydaje się zaś za wskazane i sprawiedliwe, aby państwo nakładając na obywateli obowią-

zek waloryzacji, siebie poza nawias tego obowiązku stawiało.

2) Waloryzacja zadłużenia nieruchomości miejskich mogłaby w dużym stopniu utrudnić odbudowę zniszczonych miast gdyż byłaby hamulcem w kierowaniu kapitałów prywatnych na rynek budowlany. Kapitały prywatne będą kierowane do odbudowy zniszczonych domów tylko w tym wypadku, jeżeli opłaci się wkład, który musi być w tym celu uczyniony. Zapewne, że podstawowym kryterium w odbudowie domów winny być dzisiaj na pierwszym miejscu potrzeby mieszkaniowe, a nie widoki zysku. Niemniej realizm wskazuje na to, że minimalna rentowność jest warunkiem zwiększenia tempa odbudowy. Jeżeli bowiem do wysokich kosztów odbudowy doszłyby spłaty waloryzowanego obciążenia hipotecznego (które dotyczy wielu domów wybudowanych w okresie międzywojennym) mało będzie chętnych, którzy inwestowaliby swój kapitał w interes, którego rentowność będzie z góry dość problematyczna.

Wymieniając przyczyny dla których waloryzacja nie jest wskazana, trudno pominąć zagadnienie prywatnych oszczędności. Bez wątpienia odrzucenie waloryzacji dotyka boleśnie grupy finansowo słabe, które stanowiły znaczny odsetek oszczędzających, a szczególnie boleśnie dotyka te osoby, dla których z uwagi na wiek lub ułomności fizyczne oszczędności byłyby dzisiaj podstawą egzystencji, gdyby nie uległy dewaluacji.

Obiektywnie stwierdzić jednak należy, że z punktu widzenia ogólnogospodarczego przy szczególnym uwzględnieniu sytuacji finansowej

państwa, więcej argumentów przemawia za przyjęciem zasady nominalizmu niż za przeprowadzeniem waloryzacji przedwojennych zobowiązań. Szkoda materialna poszczególnych jednostek jest rzeczą nieuniknioną. Nie można tu jednak całkowicie pomijać faktu, że szkoda, którą ponosi całe gospodarstwo wskutek dewaluacji, jest następstwem wojny.

(k)

KS. TOMANEK „MSZAŁ NA NIEDZIELE I ŚWIĘTA”. Nakładem Księgarni św. Jacka, Katowice. Stron 572 — cena zł 650.—

Z zadowoleniem należy powitać wydany świeżo przez Księgarnię św. Jacka w Katowicach „Mszał na dziele i święta” ks. Tomanka, w nowym, przerobionym i ulepszonej formie przez ks. Alojzego Siemienika wydaniu.

Mszał zawiera: Część niezmienną Mszy św., Msze na wszystkie niedziele i święta Pańskie; Msze wspólne na uroczystości Świętych; Msze o Świętych własne; Msze wotywnie i żałobne. Poza tym jako dodatek: Sakramenty, Litanie, Psalmi, Hymny, Akty poświęcenia i modlitwy przygodne.

Układ mszału jest tak jasny i prosty, że każdy z łatwością może z niego korzystać. Wydanie jest staranne, format wygodny, nie za duży.

Słusznie podkreślił w przedmowie ks. Administrator Apost. Miłlik: „nadprzyrodzona moc łask Bożych, która w obfitości płynie z sakramentalnego źródła wielkiej bezkrwawej ofiary Boga-Człowieka, jest wielu wiernym jeszcze nieznaną i niedostępną”.

Oby ten mszał rozpowszechniając się jak najszerszej ułatwił licznym wiernym owocne dla dusz uczestniczenie w tajemnicy Mszy św.

secboote”. Czowiek, który — podobnie jak przed nim Doenitz — pnąc się po szczeblach służby wojskowej przeskończył kilkadziesiąt lat, bardziej znanych i „zasłużonych” admirałów, by w końcu wojny objąć naczelną dowództwo.

Jakie były przyczyny „trzymania” Friedeburga w cieniu Doenitza? Czy robił to Doenitz sam? Fakt, że właśnie Friedeburga Doenitz mianował swym następcą na stanowisku głównego dowódcy marynarki wojennej, zdaje się temu stanowczo zaprzeczać. Może był nie lubiany przez Hitlera, czy inne przodujące osobistości „Trzeciej Rzeszy”? Raczej też nie. Nie dlatego, by Hitler czy mniejsi „kacykowie” nie usiłowali się mieszać w sprawy personalne armii, lotnictwa czy floty, ile po prostu dlatego, że Friedeburg rzeczywiście pracował w cieniu Doenitza i że sukcesy „U-bootów” nie dawały Hitlerowi powodów do niezadowolenia z dowódców broni podwodnej, w odróżnieniu od dowódców floty nawodnej, których niepowodzenia były przyczyną ostrych wy mówek, jakie robił Raederowi i które też stały się przyczyną dymisji Raedera. Zresztą Friedeburg już nie żyje, tak jak Hitler — może jedynie Doenitz, odsiadujący dziesięcioletnią karę więzienia, wyświeltli kiedyś prawdziwe powody, dla których Friedeburg był najmniej znanym niemieckim dowódcą.

Na początku wojny głośna sprawa zatopienia nieuzbrojonego angielskiego statku pasażerskiego, „Athenia”, storpedowanego przez niemiecki okręt podwodny na Atlantyku, w odległości 200 mil morskich na zachód od Nowych Hebrydów, w dniu 4 września. Niemcy, nie dość, że nie przyznawali się do popełnionego czynu, ale przypisały go chcieli samym Anglikom, którzy rzekomo chcieli przyspieszyć

węście Stanów Zjednoczonych do wojny. Trzeba bowiem wiedzieć, że większość pasażerów „Athenii” stanowili obywatele amerykańscy. Z pewnością niespodziewanie w sukus Niemcom przyszli... Francuzi. Agencja Havasa wysunęła przypuszczenie, jakoby „Athenia” została zatopiona przez niemieckie okręty podwodne, które w sierpniu 1939 roku bawiły z „wizytą” w Islandii. Przypuszczenie to, mijające się w rzeczywistości z prawdą, było wodą na niemiecki młyn. Niemieckie radio i prasa triumfalnie zdemontowały doniesienie agencji Havasa, podając, że okręty podwodne „U-26” i „U-27”, pod dowództwem komandora von Friedeburga, bawiły w Islandii nie w sierpniu, tylko w lipcu i że powróciły do Wilhelmshaven wzgl. Kilonii w dniu 29 i 30 lipca. Tak komandor Friedeburg stał się „bohaterem” niemieckiego demontażu, które wyjątkowo polegało na prawdzie, gdyż „Athenia” została zatopiona przez „U-30”, bliźniaczy okręt dwóch wyżej wymienionych.

Potym przez długi okres czasu o Friedeburgu nie słychać. Doenitz w międzyczasie szybko awansuje, jeszcze jesienią 1939 roku zostaje mianowany kontr-admirałem, a 1 września 1940 — wice-admirałem. Jego zastępcą jest wciąż zwykłym komandorem i gdy wreszcie otrzymuje pierwszy swój wojenny awans, w trzecią rocznicę wybuchu wojny, Doenitz jest już pełnym admirałem. 30 stycznia 1943 roku Hitler przyjmuje dymisję Raedera i mianuje na jego stanowisko Doenitza, awansując go o dwa szczeble na wielkiego admirała. Mianowany głównodowodzącym niemieckiej marynarki wojennej Doenitz zatrzymuje wprawdzie dowództwo broni podwodnej bezpośrednio w swym ręku, jednakże z tą chwilą Friedeburg poczyna awansować szyb-

kimi krokami. W dwa dni po nominacji Doenitza otrzymuje awans na wice-admirała, w dalsze dwa miesiące później zostaje pełnym admirałem.

Trzy awanse Friedeburga przypadają — podobnie jak i zastąpienie Raedera Doenitzem — na okres największych sukcesów niemieckiej broni podwodnej z jednej, ale i największego nasilenia walk i skutecznej kontratacji alianckiej z drugiej strony. Sześć miesięcy od jesieni 1942 do wiosny 1943 zdecydowało o wyniku wojny. Wystarczy podać kilka cyfr. Jednym z najbardziej „czarujących” miesięcy alianckiej żeglugi były właśnie listopad 1942 — kiedy zatopionych zostało 800.000 ton i marzec 1943 — kiedy niemieckie okręty podwodne poszły na dno 630.000 ton. Nie na darmo nazwali Niemcy rok 1942 „das Jahr der U-Boote” i nie na darmo w przełomowym czasie — jesień 1942 — wiosna 1943 — na Atlantyku znajdowało się w akcji 100 — 120 okrętów podwodnych równocześnie! Z drugiej jednak strony, alianci udoskonalili coraz bardziej metody walki z okrętami podwodnymi i z miesiąca na miesiąc niszczyli ich coraz więcej, co przyznał w Norymburdze sam Doenitz mówiąc: „Latem 1942 roku zaznaczył się rapłowny wzrost strat okrętów podwodnych o 300 procent. Dalszy wzrost strat, które w maju 1943 roku wyniosły już 38 okrętów, patrolowanie lotnictwa i jego wyposażenie w radar wpędziły okręty podwodne pod wodę. Okręt podwodny zostawał odkryty nie tylko, gdy samolot go zauważył bezpośrednio, ale i na odległość 60 — 70 mil morskich, tak w dzień, jak i w noc... Radar był obok bomby atomowej rozstrzygającym wojnę wynalazkiem Anglo-Amerykanów”.

Trzy lata czekał Friedeburg na swój pierwszy wojenny awans. Trzy

lata, które przyniosły nieprzerwane pasmo sukcesów niemieckiej broni podwodnej, dowodzonej przez Doenitza i Friedeburga. I trzy kolejne, szybkie awanse Friedeburga w okresie najeźrzej walki niemieckiej broni podwodnej o być albo nie być, stanowią dość rzadką, jak na stosunki niemieckie, nagrodę. Rzadką, bo niepowodzeń Hitler nie wynagradzał awansami. Za niepowodzenie czekała dymisja. Awansy Friedeburga świadczą jak bardzo był potrzebny, niezbędny i zasłużony.

Po trzech szybkich awansach Friedeburg poszedł znów w cień niepamięci. „U-Boot-Waffe” prowadziła z nieustanną determinacją, ale z coraz mniejszą siłą i coraz gorszymi wynikami walkę z aliancką żeglugą, alianckimi flotami wojennymi, stoczniami Stanów Zjednoczonych, Anglii i dominów brytyjskich, z alianckim lotnictwem i licznymi alianckimi wynalazkami. Niemieccy dowódcy, inżynierowie i uczeni też nie próżnowali i nie próżnował zapewne zastępca dowódcy niemieckiej broni podwodnej admirał Friedeburg, opracowując nowe metody ataków, zmieniając rejony operacyjne, ulepsząc obronę przeciwlotniczą okrętów podwodnych, wprowadzając środki anty-radarowe i w ogóle usiłując nadążyć aliancom w szybkości stosowania nowych wynalazków i nowych metod walki. Na próżno. „U-Boot-Waffe” przegrywała ten największy w historii wojen pojedynczy i nie było w ludzkiej mocy zmienić biegu historii. Nie dokonał też tego Doenitz, nie udało się to Friedeburgowi. Tym większą jednak dla niego niespodzianką był ostatni awans i nominacja, otrzymane od Doenitza na tydzień — dosłownie — przed kapitulacją Niemiec.

30 kwietnia 1945 roku główna kwatery Doenitza w Holsztynie otrzymuje

zdyfrowaną wiadomość radiową, że Doenitz został przez Hitlera mianowany głową państwa, Goebbels kanclerzem, Bormann szefem partii, a Seyss-Inquart ministrem spraw zagranicznych. Doenitz oświadcza, że nie uznaje nominacji Goebbelsa i Bormanna, poczym jako namowianowany „prezydent Rzeszy” wyznacza swym następcą na stanowisko głównodowodzącego marynarki wojennej admirała Friedeburga, mianowanego równocześnie generał-admirałem. W cztery dni później daje temu samemu rozkaz zaprzestania walki i wysyła go jako swego przedstawiciela do kwatery polowej marszałka Montgomery’ego, w celu podpisania kapitulacji.

Generał-admirał Friedeburg — nie zupełnie zdający sobie sprawę z beznadziejnej sytuacji niemieckiej na frontach — usiłuje wytargować od Montgomery’ego możliwie jaknajlepsze warunki. Ten w odpowiedzi pokazuje Friedeburgowi mapę z wniesionymi na nią pozycjami wojsk alianckich. I Friedeburg na to kapituluje bez słowa sprzeciwu. Wychodząc zaś z namiotu, w którym przy prostym stole z nieheblowanymi drzewa przyjął niemiecką delegację Montgomery’ego, załamuje się nerwowo i wybucha głośnym szlochem. Ranga generał-admirała i stanowisko głównodowodzącego „Kriegsmarine” okazują się brzmieniem za trudnym do dźwignięcia brzmiem.

W cztery dni później bierze porażkę udział w kapitulacji, tym razem już nie jako główny celebret tej uroczystości, tylko przydany do asyśy Keitlowi. Zaś po dalszych dwóch tygodniach popełnia samobójstwo.

Łatwiej było pięć i pół roku wojny przeżyć w cieniu Doenitza, niż trzy tygodnie na opróżnionym przez niego stanowisku.

Janusz Pająk

Czytelnik uważa, że...

W niniejszej rubryce drukować będziemy wypowiedzi i opinie naszych Czytelników na wszelkie zagadnienia życia współczesnego, politycznego, społecznego, gospodarczego i kulturalnego. Wypowiedzi winny być opatrzone imieniem i nazwiskiem lub pseudonimem (w tym wypadku nazwisko winno być podane do wiadomości redakcji) oraz nazwą miejscowości. Wypowiedzi nie powinny przekraczać 50 wierszy druku (z względu na brak miejsca, redakcja zastrzega sobie prawo przeprowadzenia ewentualnych skrótów z zachowaniem pełnego sensu nadesłanych listów).

DO RED. „DZIS I JUTRO”

Z przykrością przeczytałem w „Trybunie Robotniczej” recenzję z operetki „Dziwczynka i kokosy”. Cóż za brak smaku artystycznego, żeby w recenzji z operetki powoływać się na słowa Chrystusa*, nadając im w dodatku niepoważny i fałszywy sens! Każdy kto zna Ewangelię, wie że „u-bodzy duchem” — oznacza tych, którzy w duchu nie pragną dóbr świata, nie pragną bogactwa. Taki również był sens tych słów w staropolszczyźnie, co ob. Samozwaniec, jako literatka powinna wiedzieć. Cenimy dowcip, cenimy humor bardzo potrzebny w ciężkich czasach powojennych, ale są świętości, z których drwić nie wolno. A jak inaczej można zrozumieć tego rodzaju zdania o Chrystusie: „Tymi słowami* zachęcał jak gdyby do ubóstwa duchowego i szusnie, bo człowiek myślący poważnie, jest o wiele nieszczęśliwszy od człowieka umysłowo upośledzonego”.

Parę wierszy niżej czytamy: „Powinniśmy dążyć do tego, ażeby po śmierci dostać się do królestwa niebieskiego, więc ogłupiamy się, nie myślimy za wiele”. W ten sposób drwi z religii autorka, której ród ma u nas tradycję historyczną Kossaków!

Nie każdy musi wierzyć w Bóstwo Chrystusa, lecz każdy kto zna Ewangelię, jest pod urokiem tego Wielkiego Nauczyciela, nawet gdy z Nim walczy. Ateista, walczący z religią za pomocą drwiny, daje najlepszy dowód mierności własnej. Od pisarza nie wymagamy religijności, lecz wymagamy szacunku dla religii. Tego szacunku nie był pozbawiony nawet taki naturalista jak Darwin, który początek życia wywodził od Boga** (O powstawaniu gatunków, str. 408). Jeśli więc nawet ob. Magdalena Samozwaniec jest polskim Darwinem (chorym na macicę, sądząc z ostatnich felietonów), mamy prawo wymagać żeby Ewangelię zostawiła w spokoju.

Maria Stobiecka

*) Błogosławieni ubodzy duchem, albowiem ich jest Królestwo Niebieskie.”

***) Jest to wzniosły zaiste pogląd, iż Stwórca natchnął życiem które nas otacza...” itd.

WIELCE SZANOWNY PANIE REDAKTORZE!

Do mojego artykułu „Szeroki horyzont po mojemu” zakradła się pomyłka w zdaniu o liczbie księży w Polsce. Otóż w „Początku Serca Jezusowego”, organie Ap. stolstwa Modlitwy, w numerze z lipca 1947 r., ksiądz doktor Choromański, T. J., w artykule „Nadmiar, czy brak księży w Polsce” — powiada między innymi, że „w Polsce liczba księży według stanu z 1 października 1946 roku wynosiła 10,344 razem już księży świeckich z zakonnymi — więc nawet nieco mniej niż przed wojną, a ma to samą liczbę katolików, bo 22 miliony”. Liczbę księży w USA podano tamże na 45.000.

Bardzo przepraszam za błędnie podaną liczbę. Zarazem łączę wyrazy czci.

Walenty Majdański

DO REDAKCJI „DZIS I JUTRO”

Wiele się u nas mówi i pisze na temat moralności, etyki, obyczajów itd., ale tylko gołosłownie. Rozdziera się szaty nad gangrenującym społeczeństwem nałogiem alkoholizmu, doszukując się jego źródeł w ponurych czasach okupacji, narzeka się na rozluźnienie obyczajów jako smutną pozostałość po wojnie. Oto już minęły dwa lata od wojny, a dziś pozwolę przedstawić sobie taki kwiatek: Tu u nas w Łodzi, w reprezentacyjnym teatrze naszego miasta, w Teatrze Wojska Polskiego grają tragicomedie hiszpańską „Celestynę”. Sztukę, która (podobno) na deskach paryskich teatrów utrzymała się 2000 razy (sic!). Czy jednak u nas osiągnie te liczby, należy mimo wszystko wątpić. Daj Boże, aby znikła jak najprędzej. Sztu-

ka mimo swoje niewątpliwe walory sceniczne, dekoracyjne i nastrojowe (muzyka, światło) odtwarza brutalnie, w całej swojej ohydzie najwstrząsniejszą instynktów ludzkich, że wszystkie najgorsze podłości i bezceństwa dzieją się w imię Boga, że z modlitwą na ustach stara rajfurczyca Celestyna idzie gubić niewinną duszę Melibe, że wychowanki starej diablicy — uprawiające zawodowo nierząd modlą się, klepią litanie, zwiąc Celestynę „matką świętą” (!), że w całej sztuce na przestrzeni dwunastu odston nie milknie ten ironiczny-sceptyczny ton w stosunku do rzeczy największych i najświętszych, że cnota, dobroć, pokora, czystość serca są tam z demonizacją, iście szatańska siłą wymiata i zojdzona, że nad wszystkim unosi się fatalna siła zła — szatan — czy to w postaci ducha rozpusty, nierządu i orgii (Celestyna i jej pupilki) czy w postaci chciwości i zbrodni (słudzy don Kaliksta i Centurion) i ona ma ostateczne słowo — wówczas chyba będziemy mieli wyraźny posmak tego, co kierownictwo Teatru Wojska Polskiego przygotowało dla spragnionych karmi duchowej konsumentów. Wprawdzie liczne napisy przed wejściem i na afiszach oznajmiają, że wstęp młodzieży jest wzbroniony, lecz czy to pomaga? „Owoc zakazany” najlepiej smakuje. A dorosli? Wychodzą nieco zrytowani i znużeni, bo widowisko jest długie. Lecz uderzmy się w pierś i stwierdzmy abstrahując od wszelkiej świętoszkowości i pruderii — taka sztuka jest tylko destrukcyjna, zabija wiarę w ideały, obrzuca je błotem — może nawet pacy młode charakter i deformuje dusze. A przecież chyba nam o to nie chodzi. Chcemy mieć społeczeństwo zdrowe, silne moralnie i fizycznie, a taka placówka wychowawcza jak teatr, może jeszcze bardziej, niż co innego przez swój kontakt bezpośredni z uczuciem i myślą człowieka-widza — powinna być naprawdę estetyczną szkołą życia, a nie jaskinią trucizny serc i przybytkiem dusz. (h)

SZANOWNY PANIE REDAKTORZE!

Artykuł Stefana Kieniewicza pt. „Nowy sąd w historii” jest naprawdę wzorem polemiki publicystycznej. Układ konstrukcji myślowych, jasność i przejrzystość wykładu, zwartość argumentów oraz wysoka wrażliwość na zainteresowania historyczne i polityczne opinii polskiej, a przy tym subtelna ironia naukowca i głęboka troska o dobre imię historiografii polskiej za granicą, nie tylko cechują, ale wyróżniają pracę Kieniewicza w publicystyce polskiej.

O książce Al. Bocheńskiego „Dzieje głupoty w Polsce” byłoby dużo do pisania. Bardzo dużo.

Fakt, że Redakcja po przedrukowaniu fragmentu książki pt. „Zagadnienia przyczynowości w historii” zamieściła pracę Kieniewicza, dowodzi nie tylko bezstronności sądu, ale i zmysłu orientowania się w wielkich historycznych zagadnieniach przeszłości i ich doniosłości dla chwili bieżącej, przekonującej opinii polską do zwrotu w kierunku realizmu historycznego, różniącego się jednak od idealistycznego realizmu Al. Bocheńskiego.

W związku z tytułem książki nawiązują mi się pewne refleksje krytyczne. „Pochwała głupoty” Erazma z Rotterdamu zrobiła swoje; zasugerowała Bocheńskiego złe pojęcie odwagi konsekwencji w ujmowaniu zagadnień historycznych i skutek jest wiadomy. Nie mówię, plagiat, ale mówię, że Erazm Rotterdamski uśmiechnie się do „Dziejów głupoty w Polsce” z wszystkimi wybaczącą pobłażliwością oryginalnego pisarza i wielkiego humanisty. Szkoda, że Bocheński nie dał definicji głupoty, skoro się już zabił między — filozofów. Znajdzie ją w „Krytyce czystego rozumu” Kanta. Z wszystkimi konsekwencjami dla aaura „Dziejów głupoty w Polsce”. To jedno.

A drugie. Machiawel był bodaj wybrany i powołany sędzią w rzeczach polityki i dyplomacji, zarówno w ich aspektach genetycznych jak pragmatycznych. Nie myślę o „Księciu”, ale o jego klasycznej „Historii Florencji”. Machiawel nie napisał jednak „Dziejów głupoty Florencji” — dziejów miasta (jakby państwo), które go uczyło sztuki dyplomatycznej i — gorącej miłości Ojczyzny. „Historię Florencji” Machiawela trzeba oczywiście umieścić w ubogiej literaturze polskiej i zagranicznej „Dziejów głupoty w Polsce” — jako przykład do historii realizmu politycznego.

Aleksander Świętochowski nie żyje. Tak, autor „Genealogii” (cytuje z pamięci, Niemcy zniszczyli mi w 1939 r. w Bydgoszczy bibliotekę) nie miał zwyczaju pisania politycznych dziejów Polski bez gruntownych studiów filozoficznych, socjologicznych i historycznych. I o ile mi wiadomo, w sprawach metodologicznych Świętochowski nie uciekał się, jak Bocheński — do medycyny (p. rozdział „Zagadnienia przyczynowości w historii”).

Warto tu jeszcze przypomnieć spekulacje historyczne Lwa Tołstoja na zagadnieniach przyczynowości w historii („Wojna i pokój”). Są to spekulacje ciekawe, w pewnym sensie nawet konstruktywne, ale jak dalekie od upraszczania problemów historycznych, których związki przyczynowe wyrwają się zazwyczaj tam, gdzie się zaczyna konieczność milczenia — na krawędzi niebezpieczeństwa wypaczenia hermeneutyki politycznej. Zauważył to Tołstoj i przerwał dociekania nad niewiadomym. Wiedział, więc przewidywał następstwa tłumaczenia w swych przyczynach skomplikowanych zagadnień — głupotą narodu, ściślej „głupotą” historyków. Bocheński inaczej — w obliczu Niemców!

Tyle na marginesie książki Al. Bocheńskiego. Strzępy myśli i nic więcej. Nie warte druku, może dyskusji.

Przepraszam za „utracony czas” poświęcony memu listowi. Na poznańskim bruku publicyści tymi zagadnieniami się nie interesują. A szkoda. Proszę przyjąć wyrazy prawdziwego poważania.

Hieronim Pawłucki

WIELMOŻNY PANIE REDAKTORZE

Wpadł mi do ręki dość dawny już numer „Dziś i Jutro”, bo z dnia 27.4 b. r. W rubryce „Czytelnik uważa, że...” licealistka A. B. pisze między innymi: „Nie odpowiadają mi istniejące zrzeczenia młodzieży katolickiej, jak solidacja, bo ta młodzież nie zdaje sobie sprawy z potrzeb rzeczy-wistych”, (podkreślenia moje).

Nad powyższą uwagą dobrze się zastanowiłam. Ja również należę do solidacji. I zdaje mi się, że my, w naszej solidacji, zdajemy sobie sprawę z potrzeb rzeczywistości.

Ta rzeczywistość jest taka, że zniszczenie kraju, dokonane w ostatnich latach, przekracza sumę 250 miliardów zł. o siłę kupna przedwojennej. Ta rzeczywistość jest taka, że wojna w poważnym stopniu osłabiła niektóre cnoty obywatelskie w narodzie.

Czy młodzież, zrzeszona w solidacji, bierze pod uwagę tę rzeczywistość? Czy myśli o pracy dla Ojczyzny? — Tak. My nie posługujemy się frazesami i szumną propagandą. Praca nasza jest cicha. Staramy się o coś bardzo prostego a równocześnie wielkiego. My uczymy się dokładnie wypełniać... dziesięć Bożych przykazań. Jesteśmy przy tym pewne, że Polsce dobrze się przysłużymy, gdy je zachowamy. Zaczynamy od siebie. Gdyby w kraju ludzie w codziennym postępowaniu kierowali się 10 Bożymi przykazaniami, wiele bolączek znikłoby z naszego życia prywatnego i publicznego. Nie byłoby złodziejstwa, wzajemnych nienawiści, pijaństwa. Odbudowa kraju przybrałaby znacznie szybsze tempo.

Z zapałem i wewnętrznym przekonaniem chcemy urzeczywistnić nasz plan. Zachęca nas do tego nie tylko nauka Kościoła, lecz również zdania wybitnych ludzi. Maria Rodziewiczówna na ankietę: „czego nam najbardziej potrzeba” ogłoszoną przed wojną w „Kurierze Warszawskim”, odpowiedziała, że najbardziej potrzeba nam powrotu do dziesięciu Bożych przykazań i przestrzegania ich. Obecny minister oświaty w Czechosłowacji, Jarosław Stránsky na zebra-

niu UNESCO wygłosił podobne słowa: „Gdyby się komuś udało przekonać świat, że dziesięcioro Bożych przykazań mają znaczenie dla każdego narodu, dokonałby ogromnej rewolucji”. Podobnych wypowiedzi, najwybitniejszych nawet mężów stanu, można by dużo przytoczyć.

Sądzimy zatem, że my, sodalistic, trzymamy rękę na pulsie życia i zdajemy sobie sprawę z potrzeb rzeczywistości. Pracą cichą i ofiarną, dokładnym spełnianiem naszych codziennych obowiązków chcemy służyć Bogu i Ojczyźnie.

Kornelia Szymańska
sodalistka z Tarnowa

DO RED. „Dziś i Jutro”

Przeglądałem „Kalendarz Rodziny Polskiej” na rok 1947. Z uznaniem podnoszę, iż posiada on wiele wartościowych rzeczy, niemniej jednak uderzyły pewne braki. Dotyczą też one drugorzędnych szczegółów, nie zaś zasadniczej treści „Kalendarza”. Mam na myśli pomieszczone w nim ilustracje na temat życia rodzinnego. Sprawy można pominąć milczeniem, gdyby nie to, że treść ich pozostaje w zgodzie z pewnymi tendencjami współczesnymi, których ideaowa wartość budzi słuszne obawy w sercu każdego po katolicku myślącego Polaka. Kto czytał Morcinka „Listy spod morwy” i zachował w pamięci upiorny obraz wymierającej wsi francuskiej, a następnie przypatrzy się bliżej treści wspomnianych ilustracji, temu narzuca się natrętna myśl, że podobny koszmór przestaje oddziaływać odstraszańco na umysłowość polską, owszem, poczyna się stawać czymś powszednim, na każdym kroku spotykanym, więc tolerowanym.

Nie chcę być gołosłownym. Przytoczę dowody. Na rycinie do miesiąca lipca figuruje rodzina złożona z 4 osób więc rodziców i dwojga dzieci. Podobnie nad listopadem tylko że tu przybywa nieodzowny piesek. Nad grudniem widzimy dzieci troje, cóż, kiedy na str. 39 redukuje się ich ilość do jednego. To samo na str. 45. Opowiadanie „Zerwany most” ukazuje nam rodzinny stół z trojgiem dzieci. Nawet wreszcieowy początek roku ze swym sześciorgiem dzieciak i siódmym nauczycielem wypadła dziwnie martwo i pusto. W ilustracjach „Kalendarza Rodziny Polskiej” miejsce wybitnie uprzywilejowane zajmują rodzina z dwojgiem lub jednym tylko dzieckiem!

Wiadomą jest rzeczą, jak żywą kampanię prasową przeprowadzają katolickie czasopisma, byle tylko rozbudzić w szerokiach masach społeczeństwa świadomość niebezpieczeństwa, grożącego nam ze strony coraz liczniejszych małżeństw o mocno zredukowanej ilości dzieci czy też zupełnie bezdzietnych. Wiadomo, ile wkładają wysiłku w to, by wokół takich małżeństw wytworzyć atmosferę potępienia i braku zaufania, a przeciwnie rodzinom licznym okazywać jak najwięcej sympatii i moralnego poparcia. Tymczasem „Kalendarz”, właśnie dla szerokiego rzesz przeznaczony, zagadnienie to pomija milczeniem, przechodzi nad nim do porządku dziennego tak, jakby w tej sprawie nie miał nic do powiedzenia!

A dalej, „Kalendarz Rodziny Polskiej” jest wydawnictwem nawskroś katolickim. Najzupełniej więc słu-

nie budzi w swych czytelnikach zaufanie i pewność, że wszystko, co się w nim zawiera, jest rzeczywiście wyrazem katolickiego wejrzenia na świat. Jak więc zareagują oni, spotykając się w ilustracjach niemal wyłącznie z rodzinami o nielicznym potomstwie? Jedni może znajdą w tym ciche potwierdzenie swych ukrytych życzeń, inni uważać będą, że sprawa potomstwa nie jest dla rodziny katolickiej ostatecznie czymś tak dalece ważnym, inni wreszcie, że może ona mieć jakieś znaczenie dla wsi, ale nie dla rodzin miejskich, że wielka ilość dzieci nawet na obrazku jest rzeczą niemodną, nieestetyczną, czy coś w tym rodzaju. Ostatecznie, jakkolwiek sprawa by się przedstawiała, to na pewno w żadnym wypadku taki typ ilustracji nie wywrze dodatniego wpływu na społeczeństwo.

Nie mam bynajmniej zamiaru twierdzić, że ilustracje „Kalendarza” mają na oku szerzenie takich tendencji. Broń Boże! Lecz są dowodem niekonsekwencji katolików we wcielaniu w życie głoszonych zasad, stanowią pewną lukę w jednolitym na tym odcinku froncie katolików, przyczyniają się do osłabienia ich akcji, a pomaga natomiast do utrwalania się w umysłach czytelników poglądów wręcz przeciwnych katolickiemu pojmowaniu rzeczy.

Stacy Czytelnik

Sprostowania

Do artykułu mojego „O Kabale historii”, drukowanego w nrze 24,81 tygodnika „Dziś i Jutro” wkraśli się kilka pomyłek drukarskich, które niniejszym pragnę sprostować.

W szp. 1 w. 24 od góry: zamiast „wadiowych” ma być „wadiwym”.

Szp. 1 w. 1 od dołu: zamiast „przemysłań” ma być „przemysłań”.

Szp. 2 w. 7 od góry: zamiast „wspomnianych” ma być „wspomnionych”.

Szp. 2 w. 17 od góry: zamiast „rozważaniu” ma być „rozważaniem”.

Szp. 2 w. 21 od góry: zamiast „kompozycyjnych” ma być „kompozycyjnej”.

Szp. 2 w. 35 od dołu: zamiast „Gualdiciels” ma być „Gualducich”.

Szp. 2 w. 35 od dołu: zamiast „Ugolinich” ma być „Ugolinich”.

Szp. 3 w. 1 od dołu: zamiast „absurdem” ma być „takim absurdem”.

Szp. 4 m. 2 od góry: zamiast „potrafiłaby” ma być „potrafiłaby”.

Szp. 4 w. 3 od góry: zamiast „szczytów” ma być „chwytów”.

Szp. 4 w. 10 od dołu: zamiast „jest” ma być „że jest”.

Szp. 5 w. 26 od góry: zamiast „smutnych” ma być „smutnych”.

Szp. 5 w. 41 od góry: zamiast „przesadnej” ma być „przesadnej”.

Szp. 5 w. 28 od dołu: zamiast „siuszej” ma być „strusiej”.

Pozostaje z poważaniem

Zygmunt Lichniak

Wyjaśniamy, że w numerze 21 naszego pisma nazwisko autora artykułu pt. „Czy kryzys” zostało wskutek błędów zecerańskiego zniekształcone. Winno ono brzmieć Zdzisław Stróński (Marek Chmura).

ZŁA DROGA

Dokończenie ze str. 5-tej

czenie 10% dochodu indywidualnego na oszczędności (wg. założeń Planu Monnet'a) byłoby możliwe jedynie przy istnieniu sprzyjających warunków politycznych w kraju.

3. Brak stabilizacji politycznej i niepokoje społeczne znajdujące swój wyraz w częstych przesileniach gabinetowych uniemożliwiają z jednej strony utrzymanie jednolitej polityki gospodarczej, a z drugiej strony — osłabiając zaufanie społeczeństwa do rządu — są przyczyną biernego oporu, lub nawet otwartego bojkotowania wytycznych polityki i zarządzeń rządu.

Trudno jest przeprowadzić segregację wg. jakiejś ścisłej hierarchii elementów decydujących o dzisiejszej sy-

tuacji gospodarczej Francji. Bezuspokojenia jednak geneza i główną przyczyną chaosu i kryzysu są rozbieżności polityczne. Obecny stan rzeczy nie może trwać à la longue. Trudno jest przewidzieć drogę, którą Francuzi z obecnego kryzysu. Pewnym się jednak wydaje, że przeprowadzenie państwa przez ciężki i trudny z natury rzeczy okres powojenny jest jedynie możliwe przy: 1) zaistnieniu jednolitej i ciągłej polityki rządu (konieczność stałego rządu) oraz przy 2) podporządkowaniu się społeczeństwa do tej polityki.

Do przyszłości należy odpowiedzieć czy podporządkowanie to nastąpi w formie mniej czy też bardziej dobrowolnej.

Jan Ler.

Redagują: Jan Dobraczyński, Bolesław Piasecki.

Adres Redakcji i Administracji: Marszałkowska 81, m. 17, tel. 880-71. Konto P.K.O. — Nr. I-727.

Redakcja przyjmuje: codziennie, prócz poniedziałków i sobót, godz. 12.30 — 13.30.

Drak Skolimowska 8.

Wydawca: Kolegium Redakcyjne

Prenumerata miesięczna 60 złotych. Kwartalna 180 złotych.

B-3431